Gawronski, Franciszek
Michal Czaykowski

ŻYCIORYSY SŁAWNYCH POLAKÓW
Nr. 14

ICHAŁ CZAYKOWSKI

(SADYK-PASZA)

JEGO ŻYCIE, DZIAŁALNOŚĆ WOJSKOWA I LITERACKA

ZARYS BIOGRAFICZNY

NAPISAŁ

FR. RAWITA-GAWROŃSKI

Z PORTRETEM M. CZAYKOWSKIEGO

WYDANIE DRUGIE

Cena 30 kop.

PETERSBURG
NAKŁADEM KSIĘGARNI K. GRENDYSZYŃSKIEGO
1901



Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Января 1901 г.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

PRZEDMOWA.

Zamierzyłem był sobie napisać historyę wojny wschodniej, a raczej udziału w niej Polaków na terenie Turcyi. Był to moment naszych dziejów emigracyjnych ciekawy a mało znany. W planie moim napotkałem jednak trudność najważniejszą: zamknięte dla zwykłych śmiertelników archiwum ks. Czartoryskich w Hotelu Lambert. Taki to smutny los i pracujących i archiwów polskich. Na tle tej wojny wysuwa się wybitnie postać Michała Czaykowskiego, późniejszego Sadyka-Paszy. Kto zapragnie poznać ten okres naszych dziejów, losy rozbitków, polityczną i dyplomatyczną działalność Hotelu Lambert najprzód, a potem Czaykowskiego na własną rękę, ten, spotkawszy się z Sadykiem-Paszą, nie będzie mógł rozstać się z nim aż do rozwiązania Kozaków otomańskich.

Ta okoliczność i mnie skłoniła do zapoznania się z życiorysem Sadyka-Paszy.

Nie przyszło to tak łatwo jak się zdaje. Działalność jego literacka była dostępną dla wszystkich, polityczna i wojskowa, w szczegółach osobliwie, bardzo mało i urywkowo znaną była. To samo można powiedzieć i o szczegółach jego życia. Materyał pamiętnikarski, że tak powiem, przez osoby trzecie podany, był często bardzo jednostronny, zaprawny walką stronniczą, nieraz złośliwy a zawsze nieżyczliwy. Nie brakło również i tonu panegirycznego. (Kozaczyzna w Turcyi). Dużo wogóle znalazłem soli, a mało faktów. Z takim materyałem niepodobna było przystąpić do życiorysu. Dopomógł mi do tego materyał rękopiśmienny, zgromadzony w mojej bibliotece, wiarogodności niezaprzeczonej. Na tym też ma-

teryale przeważnie osnułem zarys biograficzny niniejszy, o ile on dotyczy faktów i dat ścisłych. Przedewszystkiem więc wymienić muszę *Pamiętnik o Sadyku-Paszy*, rękopis po francusku pisany przez osobę stojącą blisko Czaykowskiego i znającą doskonale stosunki i wypadki z jego życia; następnie *Resztki pamiętników majora Grochowalskiego*, także rękopis; część korespondencyi ks. Adama Czartoryskiego z Sadykiem-Paszą (nie drukowana); część korespondencyi jego ze Śniadecką Ludwiką; listy jego do bankiera Alléon, wreszcie rodzaj listu otwartego Sadyka-Paszy do Polaków, po powrocie jego z Turcyi do Kijowa. Wszystko to dotychczas nieznane w druku.

O materyałach drukowanych nie wspominam. Z niektórych korzystałem — o ile praca moja szkicowa korzystać pozwoliła, a wówczas powołałem się na nie. Z niektórych nie korzystałem wcale, bądź dlatego że fakt jakiś, tam podany, znalazłem w moich papierach, bądź że nie było treści godnej uwagi lub lepiej od innych ujętej (Duchińskiego: — Polacy w Turcyi), bądź też cytaty z nich nie nadawały się do tak zwięzłego traktowania, jaki sobie zamierzyłem.

Nie wątpię, że praca moja, nie wolna od usterków i błędów, tem bardziej, że obejmuje po raz pierwszy całość duchową pisarza, zainteresuje szerokie koła tych czytelników, którzy niepospolitą postać Sadyka-Paszy znali tylko z luźnych pogłosek, przesadnych opowiadań lub plotek oszczerczych.

Lwów, 15 listopada 1898 r.



I.

Michał Czaykowski urodził się na Ukrainie, w Halczyńcu r. 1804, ochrzczony w Kodni 8 maja 1805 r., a był synem Stanisława i Petroneli z Głębockich [1].

Zanim jednak poznamy pisarza, człowieka i jego działalność, musimy krótkimi rysami naszkicować tło społeczne, poznać warunki owoczesnego życia, śród których rósł i kształtował się młody umysł, zanim na pole samodzielnej pracy wystąpił. Było to życie niezmiernie bogate w różnobarwność, pełne zamaszystości, hulaszczości, swawoli; życie często bez jutra i bez poważnych prądów, ogarniających większość społeczeństwa kresowego. Dołem, u podstaw, od szkoły szła powoli praca ku odrodzeniu moralnemu i umysłowemu skierowana, ale fala codziennego życia wyrzucała ciągle szumowiny rozswawolone, niekarne, bezcelowe i zalewała zdrowe ziarna, uniemożliwiając dostęp do słońca i światła.

Była to chwila bliska jeszcze ostatniego rozgromu politycznego. W tym zakątku północnym dawnego województwa kijowskiego, który graniczył z Wołyniem, dotykał jedną krawędzią przez Owruczyznę Polesia, a południowem ramieniem stepowej Ukrainy, było rojno, hucznie wesoło. Łączność z Warszawą, a właściwie z późniejszem Królestwem kongresowem, była małą; panowie, szlachta, panie szczególnie jeździły tam bawić się i tracić majątki; młodzież, tylko powa-

---

[1] Tak świadczy, znajdujący się u mnie autentyczny wypis z ksiąg metrycznych parafii kodeńskiej. Data więc urodzenia, podana przez St. Tarnowskiego, r. 1803, jest błędną (Przegląd polski, t. IV, 1886, str. 414).

żniejsza, zaglądała do szkół. Zakątek więc, o którym mowa, żył, jak większość przyłączonych prowincyi ruskich, próżniaczem życiem. W kraju od wielu lat panował spokój: Tatarzyn, który dawniej zapuszczał tutaj zagony i w łyka bierał panów braci, dziś sam w łyka poszedł; podatki były bardzo małe, lata urodzajne, ceny dobre — podnosił się więc byt ekonomiczny, pieniądz był łatwym — nic przeto dziwnego, że szlachta rozwydrzona, hulała, grała w karty i kochała się. Tu i owdzie zjawiał się wśród rozbawionej szlachty żołnierz napoleoński albo kościuszkowski, otoczony czcią i sympatyą powszechną, który także rzucał się nieraz w wir próżniaczych zabaw i hulatyk.

Do roku 1831 wszędzie prawie na Wołyniu, Podolu i Ukrainie szkoły były polskie. Pierwsze miejsce zajmował zawsze Krzemieniec, chociaż od chwili, gdy kierownictwo opuściła ręka Czackiego, kulał, upadał, a do dawnej świetności nie podniósł się nigdy. Mimo to wszystko, siłą samej tradycyi, był, można śmiało powiedzieć, ogniskiem umysłowem Wołynia, Podola i Ukrainy. Wszystko, co kraj posiadał najlepszego, myślą i współdziałaniem łączyło się z Krzemieńcem. Wydał on już był wielu dzielnych ludzi, a wielu jeszcze miał wydać. Dzięki nie tylko przewodnictwu Czackiego, ale później Platera i Drzewieckiego, pielęgnował i podtrzymywał, bodaj w małej cząstce, poważny nastrój kresowego społeczeństwa. Wiele rodzin zamożnych zamieszkiwało Krzemieniec, a salony ich, otwarte zarówno dla uczniów jak dla profesorów i szlachty zjeżdżającej się zewsząd, były także poniekąd szkołą publiczną.

Wszystko szło ładem w Krzemieńcu — mówi pamiętnikarz — nauczyciele gorliwie uczyli, młodzież korzystała z nauk, zwierzchność wglądała starannie w ich prowadzenie się, komisya czynnie zajmowała się sprawami funduszów edukacyjnych i wiele sum odzyskała. Czacki czuwał nad wszystkiem, duch jego wszystko ożywiał. Skład nauczycieli był, jak na owe czasy, bardzo dobrze dobrany. Niektórzy z nich cieszyli się dużym rozgłosem. Wydział fizyczno-matematyczny posiadał opinię świetnie zorganizowanego. W dziale literatury wykładali Osiński, Euz. Słowacki, Feliński, historyę — Uldyński, Choński i Jaroszewicz — prawo; wyższą matematykę Ściborski, Czech. Francuszczyzna, dzięki powszechnym wy-

maganiom, niepoślednie zajmowała miejsce. Duch w szkole panował najlepszy. Poczucie miłości własnej rozwijano ogromnie; stąd też nastrój moralny szkoły był wysoki. Niezawsze wszakże na tym poziomie utrzymała się ona. Czacki, umysł trzeźwy i poważny, założywszy tę szkołę w chwili największych niepokojów w kraju, pragnął ją utrzymać i dla tego zajął wobec wojen napoleńskich stanowisko obojętne, a wobec rządu zupełnie poprawne. Następcy jego, szczególnie po utworzeniu już królestwa kongresowego, kiedy społeczeństwo wyrabiało w sobie kult dla cesarza Aleksandra I, drogi tej nie zawsze się trzymali.

Po krzemienieckich za najlepsze uchodziły winnickie. Uboższe w fundusze i środki naukowe, cieszyły się jednak na Podolu dobrą sławą. Stąd wyszli Mikołaj Malinowski, głośny na Ukrainie Spirydyon Ostaszewski, Aleksander Jełowicki, Tomasz Padura, Tyt. Szczeniowski [1]) i w. in., których imiona głośnemi się stały w literaturze i życiu. Humańskie szkoły posiadały również dobrą opinię i wydały prawie w ostatnich latach swego istnienia Bohdana Zaleskiego, Goszczyńskiego i in. Takąż samą sławą cieszyły się szkoły w Miedzyrzeczu Koreckim, dokąd uczęszczał i Michał Czaykowski, a nauki wykładali księża Pijarzy.

Jednem słowem każda większa połać kraju posiadała własne ognisko umysłowe, wystarczające bliższej i dalszej okolicy. Dopiero kto pragnął wyższej nauki, szedł do Krzemieńca, Wilna lub Warszawy.

Tak więc o brak możności kształcenia się szlachty owoczesnej posądzić niepodobna. Średnio-zamożne rodziny odbywały szkołę w kraju, bogatsze uzupełniały, w domu niejako nabytą wiedzę, zagranicą. Zresztą, nie tyle im o wiedzę chodziło, ile o znajomość obcych języków i polor towarzyski — nie zawsze nabywany w salonach.

Za powrotem do domu, ze szkół krajowych lub z zagranicy, odrobina wiedzy, niepodsycana niczem, rzadko ożywiona głębszą myślą, marnowała się w wirze codziennego próżniaczego życia. Po prostu, nie było pola do pracy, a rzadko kto zdołał go sam dla siebie stworzyć. Urzędy wy-

---

[1]) Ten sam, który miał później smutną i rozgłośną sprawę majątkową z panem Józefem Jaroszyńskim.

bieralne, na marszałków powiatowych i gubernialnych, mało dawały zatrudnienia; wybierano bardzo często nie najtęższe głowy, ale takich, którzy mieli najlepiej obładowane kieszenie lub piękny majątek, a posiadali, wysoko cenioną, cnotę gościnności. Dobra kuchnia była nieraz wyżej szacowana niż dobra głowa. Całą pracą owych marszałków było tak zwane reprezentowanie interesów szlacheckich — pojęcie nader elastyczne, nieuchwytne i polegające zwykle na dawaniu balów i trzymaniu otwartego stołu. Wybieralne sędziowskie urzędy dawały więcej pracy, ale też było ich bardzo mało i tylko jednowioskowi szlachcice do tej pracy porywali się dla zwiększenia funduszów.

Poza tem żadnego prawie pola do pracy publicznej; siły więc i duże i dużo marnowały się w próżniactwie, podniecanem dobrym stanem materyalnym całego kraju. Próżniactwo to wyradzało się w jakieś orgie swawoli, wytrącało społeczeństwo z równowagi moralnej i umysłowej, przerzucając z jednej krańcowość w drugą. Gdy żołnierze Napoleońscy wnosili do życia kult Napoleona, z kultem owym począł skutecznie walczyć prąd stworzony wypadkami i działalnością polityczną cesarza Aleksandra I. Wiara w jakąś doskonałą przyszłość ogarniała wszystkich. Ścierały się więc ze sobą dwa kulty, dwa prądy, dwie polityki. Cała ta rewolucya umysłowa i polityczna odbywała się w społeczeństwie, żyjącem resztkami dawnego życia, dawnemi nałogami, upodobaniami, sympatyami. Były one tak głęboko zakorzenione, że tylko częste i długoletnie klęski zdołały wyleczyć z nich kresowe społeczeństwo. Gangreną tą, trawiącą silny organizm, było próżniactwo, objawiające się w miłostkach, polowaniach i grze hazardowej.

Kąt Wołynia i Ukrainy, w którym Michał Czaykowski pierwsze lata młodości swojej spędzał, nie tylko nie był wyjątkiem, ale z wielu powodów należał do typowych pod względem swawolnego i huląszczego życia. Oprócz przyczyn, zachęcających do takiego życia, a zaznaczonych zaledwie przez nas, trzeba zaliczyć doskonałe, przyjacielskie stosunki, panujące między rozlokowanem na Wołyniu wojskiem rosyjskiem, a szlachtą. W Berdyczowie, który długi bardzo czas był ogniskiem wszelkich próżniaczych wybryków ogromnej połaci kraju, znajdowała się główna kwatera dywizyi huzarów, którą

składały cztery pułki: aleksandryjski, achtyrski, maryampolski i ks. Orańskiego. Oficerowie tych pułków, Polacy, Rosyanie i Kurlandczycy, posiadali opinię najlepszych hulaków, a ze szlachtą więcej lub mniej zamożną utrzymywali najserdeczniejsze stosunki. W Żytomierzu była główna kwatera komendanta korpusu generała Rotta, Alzatczyka w służbie rosyjskiej, przeznaczonego niby dla poprawy korpusu, zbyt rozhulanego. Nadomiar wszystkiego, w Kodni, znanej historycznie z barbarzyństwa Regimentarza Stempkowskiego, stacyonował sztab oddziału remonty polskiej, pięciu pułków strzelców konnych i czterech ułańskich.

Wszyscy ci wojskowi, mający czasu do zbytku, pieniędzy dużo i temperamentu nie mało, bawili się bardzo wesoło, chociaż nie zawsze przyzwoicie. Polscy remontierzy z ułanami i huzarami rosyjskimi przyjaźnili się i hulali razem. Młodzież oficerska, która przelotnie pochwyciła jakieś hasła o wolności, chętnie na ten temat prowadziła rozmowy ze sobą, ze szlachtą i z polskimi ułanami w chwilach wolnych od zabaw; z tych rozmów powstało z czasem śród wojska rosyjskiego stowarzyszenie *Zielonej Księgi*, mające przed sobą nie zbyt jasne idee jakichś reform politycznych w Rosyi. W jaki sposób to stowarzyszenie rozwiązało się — to należy do historyi Rosyi, nie naszej i dlatego też mówić ani o stowarzyszeniu ani o jego losach nie będę.

Pamiętnikarze owej doby — sam Czaykowski, Detiuk (Andrzejowski) i Kowalski, inni w mniejszym stopniu — opisują najlepiej to hulaszcze, swawolne życie i figle, które uchodziły na sucho. Mikołaj Czaykowski, stryjeczny krewny Michała, zgrywał w bilard do grosza huzarów berdyczowskich, udając że nie umie wcale grać, i łapiąc ich na to niby niewinne oszukaństwo. Rzecz to zwykła i zdarza się nieraz, ale karygodnem jest zachowywanie się i poglądy innych, którzy w tem upatrują raczej jakieś bohaterstwo niż czyn godny potępienia. Rotmistrz Stackelberg, bywający w domu marszałka kijowskiego Feliksa Zaleskiego, urządza mu figla bardzo wesołego. Wiedząc o tem, że marszałek naznaczał miejsce przy stole swoim według ilości koni, którymi gość przyjechał, dowcipny rotmistrz kazał zaprządz do powozu dziesięć trójek jedna za drugą, zajechał w ten sposób przed ganek dworu marszałka i ku uciesze wszystkich zajął pierwsze miej-

sce przy stole. Inny dowcipniś, gdy w kościele OO. Karmelitów Bosych zagrano ulubiony marsz prowincyała Romanowskiego, zaprosił żonę jakiegoś pułkownika i zrobił z nią kilka pas w tej chwili właśnie, gdy ksiądz przy ołtarzu śpiewał: „Ite missa est". Wszystko to przyjmowano z najlepszej strony, za dowcip, wesołość, żart — a popisów takich bywało co niemiara.

Ci, co nie mieli błaznowatego usposobienia, z dziką jakąś frenezyą oddawali się polowaniu, jakby pragnęli w tej zabawie utopić swoją energię i zbytek sił — nie tylko czas. Do takich zapalonych myśliwych należał Józef Stecki. Od czasów ks. Radziwiłła panie kochanku pewnie nikt — jak utrzymuje Czaykowski — nie polował z większem zacięciem od niego. Gdy polował z gończymi, całe knieje otaczano myśliwymi, rozstawionymi na stanowiskach, a gdy już wszystko było w pogotowiu, puszczano pięćdziesiąt sfor gończych, wypuszczając z różnych punktów po pięć do dziesięciu sfor. Przy każdej piątce znajdował się osobny dojeżdżacz z harapem, kordelasem i trąbką. Żadnej broni palnej nie posiadał: borsucza torba myśliwska przez ramię, czapka w torbie, głowa latem i zimą odkryta, — takie było ubranie dojeżdżacza, który musiał pędzić w ślad za psami. Gdy psy z szczekaniem zaczęły gonić zwierza, powstawał hałas piekielny, do którego przyłączała się strzelanina salwami i pojedynczymi wystrzałami. Była to prawdziwa burza z piorunami i wyciem wiatru. Panie także uczestniczyły na tych polowaniach — niekiedy konno. Rej tu wodził Mikołaj Worcel, który wszystkie psy swoje imionami żydowskiemi nazywał. Siadywał zwykle na małym żmudzkim koniku, a gdy Ryfka, Sról, Mośko i Chajka już obsadziły dzika, wówczas wskakiwał z konika na grzbiet dzika i zadawał mu pod lewą łopatkę cios ostatni. Zdarzało się nieraz, że dzik długo nosił przez chaszcze i gęstwiny leśne pana Worcela zanim ostatni cios otrzymał.

Polowanie było jeszcze najlepszym sposobem przepędzenia czasu, a rzucenie się do tej zabawy młodzieży najlepszym dowodem, że duch staropolski budzić się począł; młodzież chętnie używająca powozu przedtem, przesiadała się na konia, do siodła i z pewną fanfaronadą i brawurą oddawała się tej rozrywce. Polowanie, ćwiczenia konne absorbowały siły, przeznaczone na pracę. Budziło się zamiłowanie do koni

i psów. Zrodziło się amatorstwo, a raczej rodziło się, z którego miała niezadługo wykwitnąć bałagulszczyzna. Zdarzało się, że szlachcic wieś, z ludnością w niej zamieszkującą, oddawał za parę chartów. Rozpoczęła się szacherka na konie i charty, którą młodzież bawiła się.

Życie po wsiach płynęło tedy szumnie, wesoło i w „wysokim stopniu cywilizacyjnie“ — powiada Czaykowski. Cywilizacya owa polegała wszakże nie tylko na wesołych balikach, zabawach, kuligach, polowaniach, ale i na tem, że w domach szlacheckich, jedno lub dwuwioskowych szlachciców, znajdowały się biblioteki, a raczej zbiory przypadkowe książek większe lub mniejsze, że tu i ówdzie prenumerowano nieliczne pisma peryodyczne warszawskie i wileńskie, a młode panny i panicze nawet na jarmarku berdyczowskim, jeżeli wierzyć Fr. Kowalskiemu, o romantyzmie, Mickiewiczu i klasycyźmie rozprawiali. Traktowano wszakże zarówno naukę jak literaturę wogóle jako jedną ze szlachetnych rozrywek, najbardziej przyjemną w towarzystwie dam — rodzaj odpoczynku po polowaniu. Pamiętać należy, że zwrot ku rozrywkom myśliwskim i zabawom poważniejszym objawił się dopiero ku końcowi trzeciego dziesięciolecia naszego wieku. Było to już po wojnie tureckiej. Impuls do nowego życia wyszedł z Warszawy.

Chwila, poprzedzająca to rozbudzenie się, do której można śmiało zaliczyć omal nie całe trzy dziesięciolecia, była pognębiająco smutna pod względem osłabienia i znicestwienia ducha narodowego wogóle. Fałszywe i nieudatne próby przyjaźni na gruncie salonowym rozluźniły stosunki społeczne, wytworzyły pewną obojętność na losy własne. Nigdy może więcej jak w tym okresie nie było u nas — nie tylko na Wołyniu — rozwodów, małżeństw mieszanych i oficerskich miłostek, podkopujących byt moralny wielu rodzin. Bale Nowosilcowa i miłostki Bajkowa w Wilnie, romanse Baura na Wołyniu — były rzeczą powszednią. Powtarzało się to samo wszędzie; demoralizacya od góry, od salonów szła aż do dołu, do dworków drobnej szlachty, zabijając zmysł moralny i ducha obywatelskiego.

Godzono się spokojnie z tym stanem jaki panował. Zwycięstwa cesarza Aleksandra I., odbudowanie Królestwa Kongresowego wprawiły w szał prawie tę część społeczeństwa

polskiego, która, przyzwyczajona do zabaw, nie lubiła patrzyć w przyszłość. Gdy tylko dyplomacya rosyjska okazała się łaskawą dla Polaków, entuzyazm dla Aleksandra przygłuszył wszelkie inne uczucia i sądy. Wytworzył się jakiś wir dziwny, który w głębiny swoje porywał najsamodzielniejszych ludzi i szerzył kult do „odnowiciela Polski“. Zdawało się, że społeczeństwo, zmuszone długoletniemi wojnami Napoleona, na które dużo własnych sił i krwi wyexpensowało, potrzebowało złudzeń i odpoczynku, dlatego też gorączkowo rzuciło się do adoracyi polityki pokojowej Aleksandra I. Więcej wówczas Polacy ufali tej polityce niż rząd rosyjski Polakom. Gdy cesarz wysłał na Wołyń generał adjutanta grafa Gudowicza, „ażeby zbadał czy duch francuski nie rozszerza się w tych prowincyach“, jeden z panów polskich — świeżej daty wprawdzie — przyjął wysłannika z taką wspaniałością i etykietą, królewską prawie, sprosił takie mnóstwo gości, że zadziwił niemało generała. Z szablą przy boku wyszedł na powitanie jego do przedpokoju. Gdy Gudowicz, oczarowany przyjęciem, odezwał się do córki gospodarza: „ojciec pani dziwy ze mną wyrabia“, grzeczna wojewodzianka odpowiedziała: „ojciec mój chce dowieść jak rad jest dostojnemu gościowi“. Tytularny wojewoda upewnił grafa na odjezdnem, że jak „on tak i wszyscy obywatele wołyńscy jednym tchną duchem wierności i przywiązania dla swego monarchy“. Jednem słowem na gruncie towarzyskim panowało najzupełniejsze zbliżenie się: panowie wołyńscy bywali u Igelstromów, przyjmowali w domu swoim Głazenapów z taką samą uroczystością jak Gudowiczów, córkom swoim pozwalali romansować z generałami rosyjskimi — jak romans głośny Baura z Grocholską.

Cesarzewicza Konstantego przyjmowano również entuzyastycznie, uważając „bytność takiego gościa zaszczytem dla obywatelskiego domu“. Co do cesarza Aleksandra, entuzyazm dosięgał szczytu swego. Widziano w nim „bohaterstwo, które objawiało się ojcowskiem sercem dla milionów ludów, podległych berłu jego“, nazywano go „słońcem dla kraju północy“, człowiekiem „dźwigającym cierpiącą ludzkość“. W Wilnie przyjęcie Aleksandra doszło do frenezyi. „Obywatele miasta — mówi współczesny świadek — wyłożywszy konie z powozu cesarskiego i zaprzągłszy się sami, ponieśli lotem ptaka ukochanego monarchę do miasta“, oświetlonego i ozdobionego

w allegoryczne postacie, wyobrażające „szczęśliwość miasta i uwielbienie Monarchy“. Wdzięczny i łaskawy cesarz tańczył na balu z paniami tak uprzejmie, że ani jednej z piękniejszych nie opuścił. Śród tych uroczystości nie zapomniano także o „balu dla pospólstwa“ kosztem obywateli. Całkowite woły upieczone, mnóstwo baranów i drobiu padło ofiarą tego uroczystego przyjazdu, a piwa, miodu i wódki wypito bez miary. Szlachta kazała malować portrety cesarza na pamiątkę jego pobytu, odprawiała solenne nabożeństwa, a gdy odjechał — żałowała, że uroczystości tak rychło minęły.

Przystępność Monarchy — pisze uszczęśliwiony Andrzejowski — pozwalała każdemu z blizka napatrzyć się na jego piękne oblicze i zostawić w sercu i pamięci niezatarte rysy pomazańca bożego.

To samo działo się w Żytomierzu. Nie jestem w stanie opisać entuzyazmu — mówi Czaykowski — z jakim przyjmowano Aleksandra I. Każdy był gotów na jego skinienie ofiarować życie, majątek, wszystko co posiadał, a Polki szalały za uprzejmym cesarzem. I tu oczarował swoją osobą wszystkich — szczególnie panie; tańczył z niemi mazura, wybierając najpiękniejsze, a z dziesięcioletnimi kawalerami maltańskimi, jakim był wówczas Michał Czaykowski, rozmawiał życzliwie. Taka epoka uniesień trwała, jak powiedziałem, prawie do końca trzeciego dziesięciolecia.

Dobre to były czasy — powiada zadowolony z czasów i z siebie Fr. Kowalski, — lata urodzajne i handlowe na Wołyniu. Pieniędzy było huk; trwoniła je szlachta na bale, zabawy, hulanki jarmarczne. Zadowolenie próżniacze do tego stopnia ogarnęło szeroką część społeczeństwa kresowego, że kto tylko brał się za pióro w późniejszym wieku, ażeby wesołą przeszłość opisać, nie miał dla niej nigdy za dużo słów entuzyazmu.

Święć się, święć się wieku młody! — nieudatnie zastosowanym pięknym wierszem Bohdana Zaleskiego rozpoczyna panegiryk tej przeszłości Franciszek Kowalski, poeta bez piękna i poezyi w duszy. Zawsze mi to wykrzyknienie — powiada — na myśl nasuwa się, ile razy wspomnę sobie o ubiegłych dawno chwilach swobody i *żadną chmurką* niezamąconej wesołości; o różnych a różnych, właściwych owej epoce *najczęściej wesołych* zdarzeniach, wypadkach i przypadkach, które

dziś przesuwają się przed moją wyobraźnią. Nie on jeden tylko żałował wiosny, którą „śmiejąc się przeskakał“.

Musiały istnieć w owe czasy jakieś szkła różowe przez które na społeczeństwo i ludzi patrzano, bo nawet poważni ludzie nabierali w opowiadaniach pamiętnikowych błaznowatego zacięcia, a pospolici wykpigrosze jarmarkowi urastali ledwie nie na bohaterów. Popisy wobec dam, przypominające romansowych trubadurów średniowiecznych, wstrętne miłostki lub tulczyńskie awantury pasierba z macochą, rozluźnienie moralności na każdym punkcie nie dobre wydawały świadectwo o zdrowiu społeczeństwa. Po nad próżniaczem życiem nie było żadnego światełka, oświetlającego drogę ku przyszłości. Z jednej strony garstka rozbitków, z drugiej rozbawiony tłum.

Społeczeństwo budzące się już z tego uśpienia umysłowego, w jakiem ostatnie lata panowania Stanisława Augusta je pogrążyły, miało jeszcze w łonie swojem zarazek dawnej trucizny: było to karciarstwo — powszechne, rujnujące, wstrętne. Dwór tulczyński dawał pod tym względem najgorszy przykład i skupiał koło siebie najpodlejsze jednostki. Koniec XVIII w. był kolebką karciarstwa w Polsce i panowaniem karciarzy; długo, bo prawie sto lat choroba ta trapiła społeczeństwo polskie, a na Ukrainie, Wołyniu i Podolu przeciągnęła się prawie po koniec r. 1863. Po tym dopiero czasie nastąpiło otrzeźwienie. Początek wieku XIX i pierwsze trzy dziesięciolecia można śmiało zaliczyć do orgij karcianych społeczeństwa kresowego. Szalbierze kartowi — powiada Henryk Rzewuski — utworzyli dla siebie w Polsce prawdziwe władztwo, byli potencyą silniejszą od tych, które się opierały na prawie krajowem, a często minister lub senator bywał zacieranym w towarzystwie od członka tej osobliwej federacyi. W Warszawie miała ona swoje zjazdy, na których układały się jej plany. Miała swoją organizacyę, swoją policyę, swoich podkomendnych, którzy w zawodzie szachrajstwa wszystkie jej rozkazy wykonywali, bądź służąc im za szpiegów, bądź ogrywając tych, którzy zanadto nizko stali, żeby sami wodzowie z nimi przestawali. W każdym zamtucie były stoliki, zielonem suknem okryte, z kartami i pieniędzmi, a za nimi szulerzy, którzy na pewno ogrywali niższe warstwy społeczeństwa. Te szulerki podwładne najskrupulatniej przynosili swoją wygranę naczelnikom, poprzestając na tem co oni im zosta-

wią z wygranej. Przyszło do tego, że poczytywano za jakiś zaszczyt być oszukanym przez któregoś z tych bohaterów, a później być umieszczonym w liczbie jego klientów. Bywały przykłady, że syn senatora lub dygnitarza, zgrany i w długi wprowadzony przez szulerów, przystawał do ich służby, naprowadzał im nowe ofiary, krupierował, podrobione karty podrzucał w domach, gdzie urodzeniem swojem wstęp znajdował, znosząc z budującą cierpliwością wszelkie od nich poniżenia, wszelkie obelgi, dlatego tylko, że przez nich mógł żyć w próżniactwie, zbytku i rozpuście, do jakich nawykł.

Niepodkupione to świadectwo daje smutne wyobrażenie o tak zwanych wyższych sferach owego czasu. Ponińscy, Miączyńscy, Lulewicze, Gurowscy, Hadźkiewicze i in. rej wodzili, a wychowańcy ich, niekiedy i oni sami, długo w wiek XIX przeciągnęli swój sposób życia i rzemiosło demoralizujące. Większość z nich próbowała swego szczęścia, a raczej sprytu w Tulczynie, gdzie miliony Szczęsnego Potockiego przeładowywali do swoich kieszeni, ażeby je zmarnować. Młody Jerzy, syn z Mniszchówny wraz z „piękną Zofią“ także bierali często lekcye od szulerów. Nie tylko świeccy ludzie, ale i duchowni dawali w tej mierze przykład nie zbyt godny naśladowania. Jednym z głównych rozpustników i karciarzy był Sierakowski, z początku kanonik przemyski, a potem biskup latyczowski — nie aprobowany przez Stolicę Apostolską. Posiadłszy względy Szczęsnego Potockiego, kręcił się ciągle koło tego ukraińskiego Krezusa, otrzymawszy od niego najprzód Tomaszpol w dożywocie, a następnie piękny futor pod Humaniem. Oprócz wesołego życia i karciarstwa trudnił się on także dawaniem rozwodów i pod tym względem był jednym z najczynniejszych demoralizatorów własnego społeczeństwa.

Tradycye karciarstwa przeniosły się jeszcze do Dubna na kontrakty, a stamtąd, wraz z kontraktami, do Kijowa. Tu grywano na gruby kusz — powiada Czaykowski — w faraona i sztosa, prawdziwie po szatańsku. Bankier trzymał dopóty bank, dopóki leżąca przed nim kupa asygnacyj nie dorastała do jego nosa; na kartę stawiano po sto tysięcy rubli, zapisy dusz poddanych przechodziły z rąk do rąk jak ruble. Jenerałowie rosyjscy i magnaci grali z równem szaleństwem jak Polacy. Stary Hadźkiewicz, który śród karciarzy awansował na generała, zjeżdżał na kontrakty kijowskie i zgrywał

wszystkich, aby wygrane pieniądze przehulać. Słusznie utrzymuje Czaykowski: „jeżeli można było powiedzieć, że Warszawa tańczyła, Kraków się modlił, Lwów — kochał, Wilno — polowało, to stary Kijów — grał w karty“. Nie tylko Kijów, niestety; grało całe kresowe społeczeństwo, każdy w stosunku do posiadanych do przegrania pieniędzy, a Berdyczów, szczególnie w czasie jarmarku Onufrejskiego, bywał polem popisów dla gogów szlacheckich. Kijów pod względem szulerki posiada swoją historyę, na której kartach zapisane są imiona nietylko Hadźkiewiczów, ale nawet takich niezwykłych dżentelmenów gry w karty i bilard jak znany podstoli Walicki, który za tytuł dwakroć sto tysięcy wyliczył gotówką Sołtykowi. Ogrywał on świat cały — królów, książąt, królowe, kupił duże dobra na Litwie za wygrane pieniądze i żył jak magnat. Hojność jego miała nawet charakter szlachetny, gdyż mieszkając w Wilnie łożył na uniwersytet tak jak żaden z magnatów, zapisując mu rozmaite kolekcye, a nawet dobra.

Szlachcic mniej lub więcej zamożny, jeżeli nie jechał do Kijowa na kontrakty, do Berdyczowa na jarmark, gdzie zgrywał się do szeląga, lubił swoją wieś, bo tutaj mógł do woli próżnować sam lub w licznem towarzystwie. Taki szlachcic, domator, niby zajmował się gospodarstwem, lecz w gruncie rzeczy zajęcie to traktował jako ćwiczenie gimnastyczne bardzo pożyteczne dla zdrowia, bo budzące i utrzymujące apetyt i sen. Praktycznego pożytku z takiego zajęcia było bardzo mało, bo „pan“ jeździł konno lub w powozie, przyglądając się zdaleka wszystkiemu, a ekonomowie i asawułowie z nahajami „exekwowali“ pańszczyznę. Wyborny typ takiego wiejskiego próżniaka owej doby przedstawił nam H. Rzewuski w Domatowiczu. Skutkiem próżniactwa wyrabiało się także smakoszostwo, a nawet pospolite obżarstwo, osobliwie śród starszego pokolenia. Nie było najlichszej wioski gdzieby szlachcic nie trzymał kucharza z kilkoma bodaj kuchcikami, a często dwóch i trzech ze stosowną ilością usługi. Szły olbrzymie nieraz fortuny na dobrą kuchnię i gościnność, a to wyłączne pielęgnowanie podniebienia, jak i karciarstwo, przeciągnęło się także do r. 1863. Pod tym względem wytwarzał się u nas osobny typ dziwaków — smakoszów, prawie nieznany gdzieindziej. Niezmiernie ciekawym okazem pod tym względem był Alojzy Wyrzykowski. U niego obżarstwo było

nie tylko chorobą, bo w takim razie mógłby się zadowolnić byle czem, lecz amatorstwem, przyjemnością, rozkoszą. Przyrządzanie potraw i narady z kucharzami było jego pracą; ustawiczne zajmowanie się kuchnią, jedzeniem i sobą podniecało jego apetyt. Posiadał on trzech kucharzy — pisze Czaykowski: — jednego do potraw mięsnych, drugiego do rybich, trzeciego do mącznych; prócz tego był jeszcze cukiernik — a wszyscy byli artystami w swoim fachu. Zimą czy latem, na godzinę przed wschodem słońca, wyskoczywszy z łóżka, wsunąwszy nogi w pantofle i narzuciwszy na siebie szlafrok pan Alojzy biegł do kuchni. Tu już był przygotowany kapłon pieczony na rożnie. Kucharz rozbierał go na części, a Wyrzykowski pożerał kąski, ogryzając nawet kosteczki. Następnie wracał do pokoju i znowu kładł się spać. Zaledwie promienie słońca zaczęły się przedzierać przez okiennice, krzyczał do żony na całe gardło, że czasby pomyśleć o kawie. I tak szły jego trudy i zajęcia kolejką aż do nocy. A trzeba dodać, że takich panów było bardzo wielu.

Pomimo tych wad byli to ludzie i dobrzy, i uczciwi i rozumni. Kupowali książki, czytali dużo, a nawet posiadali biblioteki. Brak troski o jutro i brak powagi umysłowej przeszkadzał im do użycia czasu i sił swoich pożytecznie, a próżność małostkowa pędziła ich do ruiny. Niekiedy cel wielki i szlachetny rozbudzał uczucia obywatelskie, ale nie na długo.

II.

Na tle takiego różnobarwnego, wesołego a niezbyt pracowitego życia urodził się i spędził młodość swoją Michał Czaykowski aż do r. 1831, który jego wraz z innymi przerzucił na pole walki a następnie za granicę, na emigracyę. Nic dziwnego przeto, że wiele pierwiastków, zarówno dodatnich jak i ujemnych wsiąknęło w jego organizm duchowy, przeszło w krew i myśli i znalazło odbicie zarówno w późniejszem życiu, jak w pracy i jej charakterze. Poza tymi wpływami ogólnej natury, że tak powiem, działały także przypadkowe wpływy szkoły i najbliższego otoczenia.

Szkolną naukę rozpoczął Czaykowski w Berdyczowie,

stolicy niejako bałagulszczyzny szlacheckiej, ukraińskiej, w prywatnym zakładzie naukowym Anglika Wolsey'a. Był on nauczycielem wielkich książąt Mikołaja i Michała, braci cesarza Aleksandra I., a później dyrektorem liceum w Odessie. Niedługo wszakże wytrwał na tem stanowisku. Ustąpił z niego dobrowolnie, ale wskutek nieporozumienia, jak się zdaje, z generał-gubernatorem Noworossyjskim, księciem Woroncowym, a wówczas działalność swoją przeniósł do Berdyczowa, gdzie założył rodzaj szkoły czy konwiktu prywatnego, będącego wszakże pod dozorem władz urzędowych szkolnych. Ks. Maciej Radziwiłł, naówczas właściciel Berdyczowa, oddał do jego dyspozycyi obszerny dom z prześlicznym parkiem i sumę trzechkroć sto tysięcy zł. pol. w celu otwarcia liceum. Tak przynajmniej utrzymuje Czaykowski w *Pamiętnikach*. Zakład Wolsey'a tem się różnił od innych, że posiadał więcej charakteru wojskowego. Uczniowie byli tylko internanci. Nauka podzielona była na sześć klas, które odróżniały się od siebie kolorowymi wyłogami na granatowych mundurach, zrobionych krojem ułańskim. Wszyscy wychowańcy mieli lance z chorągiewkami i drewniane pałasze; w każdej zaś klasie był inspektor, uważany za oficera. W nocy kolejno stawali na straży przy bramie w dębowym parku, dlatego aby wychowańcy przywykali do odwagi i służby wojskowej. Rozstawiano pikiety i patrole. Nauka robienia bronią i konnej jazdy była obowiązkową. Kto chciał mógł trzymać własnego konia; kto nie miał, jeździł na koniach zakładowych.

Poza tymi żołnierskimi cechami wychowania, sposób i tryb życia miały charakter rodzinny, towarzyski. Każdy uczeń sam sobie słał pościel, porządkował rzeczy, służba czyściła tylko buty, ubranie i przynosiła wodę do umywania się. Pierwsze śniadanie, złożone z kawy lub herbaty, wydzielała sama p. Wolsey lub inne panie, mieszkające w zakładzie; drugie o 10-tej, złożone z dwóch potraw odbywało się także przy asystencyi dam. Obiady i podwieczorki szły tym samym trybem. W niedzielę i święta przychodziła pensya pani Wichlińskiej, goście zaproszeni, a przy muzyce bawiono się tańcem. Niekiedy uczniowie chodzili oddziałami na pensyę żeńską lub do domów prywatnych dla zabawy. Słowem, młodych paniczów traktowano jak dorosłych, ostrożnie, grzecznie.

Czego i jak uczono — na to trudniej dać odpowiedź.

To tylko pewno, że wychowanie i kształcenie miały charakter zupełnie szlachecki: nic praktycznego, a wszystko dla poloru, ogłady, wygody, zdrowia. Przedewszystkiem tedy górował język francuski, którym panicze mówić musieli przez dni dwa, jeden dzień był poświęcony na język rosyjski, jeden na polski, tyleż na niemiecki i łacinę. Program szkolny, układany przez komisyę, do której należał Tad. Czacki, obejmował tańce, muzykę, naukę konnej jazdy. Bliższych szczegółów tego programu nie znamy wcale i żaden z pamiętnikarzy nie podał go nam. Według notatki Czaykowskiego wykładali w tej szkole: Artemowski — zdaje się Hułak-Artemowski, późniejszy profesor literatury polskiej w uniwersytecie Charkowskim, matematykę i nauki przyrodnicze jacyś bracia Antonowicze. Słowem, oprócz nazwisk, i to niepewnych, nic więcej o profesorach tej szkoły niewiadomo. Jako ludzie niezależni od rządu, bawili się oni w rozmaite wolnomyślne rozmowy i marzenia, które w kilkadziesiąt lat później powtórzył w *Pamiętnikach* Michał Czaykowski. Nie można ich wszakże brać za prawdę, lecz za Wahrheit und Dichtung raczej, szczególnie dlatego, że niejednym wspomnieniom nadawał bezwiednie podkład myślowy własnych marzeń i złudzeń. Była tam— powiada o szkole Wolsey'a — mozaika słowiańska, przeważał jednak duch kozacki i kozacka tradycya, ponieważ profesorowie byli zawziętymi ukrainofilami, jakoteż dlatego, że w tem berdyczowskiem kółku pielęgnowano przeszłość Zaporoża, złotą dumę o hetmanach Ukrainy, pieśni kozackie i *małoruskie* [1]) i wiele innych utworów, które później ujrzały świat w Charkowie. Słów tych nie można brać na seryo. O panowaniu „ducha kozackiego" w polskiem społeczeństwie nie mogło być mowy; były to wyjątki, z którymi zetknął się przypadkowo Czaykowski. Rzecz oczywista, że rozmowom o przyszłości i przeszłości, które samą siłą rzeczy, musiały niejednokrotnie zajmować umysły współczesne, nadawał on we wspomnieniach zbyt wiele wyrazistości i dodawał własnych późniejszych myśli. O ile te spory szlachecko-kozackie, których oprócz Czaykowskiego nikt nie powtórzył, wyrozumieć wolno, garstka ukrainofilów była „za wskrzeszeniem kozaczyzny, jako

[1]) Innych kozackich niema.

zakonu rycerskiego, który dla Słowian powinien był być tem czem krzyżacy byli dla Niemców, Templaryusze i rycerze maltańscy dla ludów łacińskich“. W poglądach takich przeważał pierwiastek arystokratyczny, żądny władzy, panowania; upatrywano w kozactwie pewien stan, korporacyę, posiadającą cechy wybitnie wojskowe lecz nie narodowe. „Kozak — to szlachcic-rycerz, utrzymywali oni, a Ruś — to chłopstwo, tłum, tłuszcza, czerń, hałastra, tałatajstwo“. Drugi prąd był demokratyczny, a raczej demagogiczny, mocno podobny do tych rojeń sławianofilskich, jakie się objawiły około r. 1848, kiedy to chciano budować królestwo boże na ziemi przy pomocy Cyryla i Metodego. Otóż ten prąd religijno-demokratyczny opierał się na zasadzie, że ludzie wszyscy są równi w oczach Boga i że tak być powinno i wobec praw ludzkich; pragnęli jakiejś „ruskiej hramoty“, swobody i równości miejscowego samorządu, wogóle zaś pragnęli jakiejś „Rusi“. Pojęcia tego nie określano ani geograficznie, ani etnograficznie, ani politycznie. Bawiono się wyrazami. Zwolennicy kozaczyzny utrzymywali, „że bez kozactwa i szlachty będzie panowanie tłumu, Gonty i Żeleźniaka, zabójstwa, pożary, spustoszenia; taką będzie owa „Ruś“. Drudzy zaś opowiadali: „wasze kozactwo, to knut w ręku silniejszego“. A trzeba przyznać, że ci i owi mieli racyę, biorąc każdą inną klasę, inną warstwę, inny czynnik za podstawę do „panowania“. Zgodzili się wreszcie na to, że złe poprawić może tylko jakaś wszechsłowiańszczyzna, której stolicą miał być stary Kijów. „Wszystkiemu temu — opowiada Czaykowski — przysłuchiwałem się uważnie, wszystkiego tego wyuczyłem się na pamięć, jak modlitwy, jak dziesięciorga przykazań boskich. Od tego dnia począłem myśleć o tej kozacko-słowiańskiej łączności — śniła mi się każdej nocy. Cała ta terminologia o kozactwie, o arystokracyi, o demagogii i panowaniu ludu w Słowiańszczyźnie wbiła mi się jak gwóźdź w głowę. Pod wpływem tych zapatrywań rosłem, od nich nie odstępowałem w mem życiu politycznem i widzę, że na mnie sprawdziło się przysłowie: czem skorupka za młodu nasiąknie, tem na starość trąci“.

Istotnie, pamięć pokrewieństwa z Brzuchowieckim, hetmanem kozackim, spory i rojenia na temat kozaczyzny, jako jakiejś siły, na której jeszcze budować można coś na przy-

szłość, wreszcie zapoznanie się z marzeniami o wszechsłowiańszczyźnie, które później weszły jako podwaliny pod stowarzyszenie *Bractwo św. Cyryla i Metodego* — wszystko to do pewnego stopnia wpłynęło na usposobie i charakter myśli M. Czaykowskiego, gdy sprobował sił swoich w literaturze.

Wychowanie jego nie skończyło się bynajmniej na nasiąkaniu wpływami „kozacko-szlacheckimi“, na ćwiczeniach i towarzyskiem życiu w zakładzie Wolsey'a. Zakład ten trwał niedługo — trzy lata tylko; po śmierci założyciela wszystko rozsypało się w gruzy, tak że młody pan Michał musiał przenieść się na naukę do Międzyrzecza, do Pijarów. Tu mu wszystko nie smakowało: ani życie ani nauka. Przedewszystkiem uczniów było za wiele, bo około tysiąca, następnie po arystokratycznie prowadzonem „liceum“ Wolsey'a, różnobarwność żywiołu szkolnego i stopień życia zbyt może demokratyczny, nie sprawiały dodatniego wrażenia. Szkoła posiadała charakter wybitnie narodowy, na co w zakładzie Wolsey'a nietylko uwagi nie zwracano, ale przeciwnie, pożądanem było dla prosperowania zakładu zatarcie wszelkiej barwy narodowej. Francuski język górował tam nad wszystkimi, a inne były równouprawnione. Już same dysputy o „wszechsłowiaństwie“, „słowiańszczyźnie“, o „kozactwie“ były dowodem tego jak uczniowie mało interesowali się sprawami i rzeczami bliższemi. W porównaniu z wykwintnem, wesołem i wygodnem życiem „liceum“ Wolsey'a, szkolne życie w Międzyrzeczu nie przypadało do gustu młodemu Czaykowskiemu. Wszystko tu było, według jego mniemania miernotą — i profesorowie i uczniowie; profesorowie zachowywali się z małą godnością, byli za mało przewodnikami młodzieży, a za wiele — urzędnikami. Czaykowski robił im zarzut, „że nie starali się zbliżać do miejscowego towarzystwa“. Z tych i innych powodów bogatsi obywatele nie oddawali dzieci swoich do szkół międzyrzeckich, chociaż uczniowie tych szkół „w salonach nie ustępowali krzemienieckim“, a nawet, jakkolwiek Polacy, zmieniali się na prawdziwych Francuzów północy. „Najgorszem to było, że niepoprawni Pijarzy“, gdy tylko rozlegała sie wieść o powstaniu jakiem lub wojnie, rzucali habity w pokrzywy i ubierali się w ułańskie lub artyleryjskie kurtki. Tak samo postępowali i uczniowie. Kuratorem szkół międzyrzeckich był właściciel miasteczka Józef Stecki. Według kla-

syfikacyi autora Wernyhory należał on do „wyższej klasy kozaków“, pod względem zaś wykształcenia nie sprzeniewierzył się rodowej tradycyi Steckich, nie przekraczać poza klasę drugą. Gdyby nawet tak było istotnie, należeli oni, a szczególnie Józef, do ludzi rozumnych, bo doniosłość nauki pojmował i posiadających ducha obywatelskiego, bo szkołę swoją ogromnymi funduszami wspierał.

Po trzechletnich naukach w Międzyrzeczu, matka postanowiła kształcić dalej swego jedynaka w Warszawie, pomimo jego kozackie sympatye, jakiemi nasiąknął w towarzystwie kolegów i profesorów zakładu Wolsey'a. Ojca młody pan Michał już nie posiadał. Rósł on swawolnie najprzód pod opieką dziadka z linii matki Głębockiego, wielkiego zawadyaki i dziwaka, a następnie kochany przez wszystkie ciotki bliższe i dalsze, jeździł wprawdzie do szkół, ale tylko dla Wolsey'a zachował najlepszą pamięć, nie dla tego bynajmniej, że tam najwięcej się uczył. Dla Pijarów nie miał wielkiej sympatyi, a Warszawa stanowczo mu się nie podobała. I nic dziwnego: przyjechał do niej rozhulany, rozwydrzony, nasiąkły „wszechsłowiaństwem“ i „kozacko-szlacheckiemi“ ideami. Tego wszystkiego w Warszawie nie znalazł. Na wyjazd do uniwersytetu warszawskiego nie odrazu zdecydował się i p. Michał i matka. Ze szkoły międzyrzeckiej w 16-ym r. życia wyszedł bakałarzem matematyki i literatury „jak na obywatela, człowiekiem zupełnie skończonym pod względem naukowym“. Radość z tego powodu była wielka i matki, i rodziny, i nowego członka szlacheckiego społeczeństwa. Matka poczęła go traktować jak dorosłego mężczyznę: otrzymał do swego rozporządzenia konie, powóz, osobną służbę i dochody z jednej wsi. Ażeby go zapoznać z rodziną i powinowatymi i dać możność wejścia w świat niejako, matka poleciła mu zrobić objazd okolicy a na drogę dała trzysta dukatów. Udał się tedy najprzód do Radomyśla, do brata swego stryjecznego, a ponieważ tutaj stacyonował aleksopolski pułk piechoty, Czaykowski zapoznał się z pułkownikiem i oficerami. Przekonał się wkrótce, że w towarzystwie tem nie tylko pielęgnowano idee o „wszechsłowiańswie“ ale także fryców zgrywano w karty. P. Michał zachęcony do faraona, siadł do poniterki, i dane mu na drogę przez matkę 300 dukatów co do grosza przegrał. Dalsza podróż tedy była prze-

rwaną. Na szczęście stary sługa, towarzyszący Czaykowskiemu miał trochę grosza własnego i odwagę; poradził więc paniczowi rozpłacić się w zajeździe i wyjechać. Tak też się stało — opuścili niegościne towarzystwo w nocy i przyjechali do Halczyńca. Matka przyjęła tę wiadomość w milczeniu — żadnego wyrzutu mu nie zrobiła. Gdy się młody winowajca błąkał po folwarku, nie wiedząc co robić, matka położyła mu na stole znowu 300 dukatów, a gdy wrócił, powiedziała stanowczo, że trzeba koniecznie rodzinę odwiedzić. W nową więc podróż wyruszył i plan matki wykonał. Przesiadywanie w domu, a raczej ciągłe rozjazdy i stosunki nie na dobrą drogę skierować mogły młodego zapaleńca. Zaglądał do Berdyczowa, bratał się z ułanami i huzarami. Awanturnicza żyłka odzywać się w nim poczęła. Wypadek zetknął go w Berdyczowie z młodym Mikulskim, którego rząd rosyjski posłał nad Dunaj, do Dobrudży w celu może zbadania sił resztek zaporoskich tam osiadłych lub może porozumienia się z nimi. Opowiadał tedy dziwy o owej kozaczyźnie za Dunajem. Niechcący trafiał w upodobania i marzenia młodego wychowańca szkół międzyrzeckich. Zapalając się do tych opowiadań, Czaykowski powziął zamiar wstąpienia do wojska. Byłby może zamiaru dokonał, pomimo młodego wieku, gdyby nie ostrożność matki. Zmiarkowawszy rychło, że zawcześnie pozwoliła synowi używać swobody, przerwała te marzenia objawieniem chęci wysłania syna do Warszawy do uniwersytetu na wydział prawny, w celu zaokrąglenia i zakończenia wykształcenia.

W ten sposób młody panicz znalazł się na innej drodze — nie bez pewnego upodobania zapewne, bo Warszawa była bardzo pociągającą dla wszystkich.

Rzemiennym dyszlem, odwiedzając znajomych i krewnych, jechał Czaykowski do Warszawy. Zwiedził Lublin, Puławy po drodze. W Warszawie miał krewną jenerałową Wąsowiczową, jenerał był szwagrem stryjecznego brata p. Michała, Piotra Czaykowskiego. Na wykwintnych salonach tej pani młody panicz ukraiński zapoznał się z wielu wybitnemi, mniej lub więcej, osobami. Tu poznał Juliana Niemcewicza, generała Chłopickiego, Władysława Zamoyskiego, z którym w życiu późniejszym zetknął się i w. in. Do uniwersytetu warszawskiego nie przyjęto Czaykowskiego na podstawie jedynie świadectwa międzyrzeckiego — trzeba było złożyć

egzamin. Przepłynął jednak przez tę Scyllę i Charybdę pomyślnie.

Działo się to już ku końcowi trzeciego dziesięciolecia naszego wieku. Warszawa nie przedstawiała się bynajmniej tak burzliwą jakby się można było spodziewać i wnosić z wypadków, jakie wkrótce nastąpić miały. W towarzystwach bawiono się wesoło. Wielki książę ćwiczył swoją małą armię, wywołując entuzyazm dla niej i dla siebie. Poza temi zabawami — na placach i w salonie, śród młodzieży akademickiej panowała cisza, przerywana tu i owdzie próbami politycznego spiskowania. Niezadowolenia i spiski tajemne zarysowywały się wybitnie. To tylko rzecz pewna, że o Rusi, kozaczyźnie, a tembardziej „wszechsłowiańszczyźnie“ mowy tutaj nie było. Pod tym względem Czaykowski czuł się odosobnionym i niezadowolonym. Na młodzież warszawską patrzył zjadliwie i sądził ją niesprawiedliwie. Zdaje się, było wzajemne boczenie się na siebie, a właściwie wzajemne niezrozumienie się. Gdy młody panicz ukraiński począł w Warszawie powtarzać to czego się trochę w domu, a więcej u Wolsey'a i oficerów nasłuchał, radzono mu żartem, zamiast do *towarzystwa zielonej księgi*, wpisać się do *towarzystwa zjadaczy befsztyków*, ukraińskich pierogów, lub paryskich obiadów. To wszystko wydawało się młodemu Ukraińcowi obojętnością polityczną i było przyczyną, że się od towarzystwa kolegów odsunął, a natomiast kręcił się w kole „wyższego towarzystwa“, do którego wszedł za pośrednictwem jenerałowej Wąsowiczowej. Poza tem wszystko mu się nie podobało w Warszawie: młodzież była hulacką, panie bigotki, oficerowie polscy, w porównaniu z rosyjskimi, mieli mało „ogłady światowej“.

Tak rzeczy stały, gdy młody, światowy Ukrainiec otrzymał smutną wiadomość o chorobie matki i o chęci jej oglądania syna. Nie zwlekając tedy, powrócił do domu w sam czas jeszcze: matkę zastał przy życiu. Nie długo wszakże niem cieszyła się. W kilka dni po powrocie syna umarła.

Śmierć jej była epoką przełomową w życiu Czaykowskiego. Przedewszystkiem musiał przerwać nauki, a to czego się dotychczas nauczył, było bardzo niewiele. Następnie, skutkiem śmierci matki, musiał stanąć na czele interesów materyalnych i objąć w posiadanie majątek. Wydzielił z niego

równe części siostrom, a sam został posiadaczem Halczyńca, Agatówki i Siomak. Po jednym ze stryjów swoich wkrótce także odziedziczył duży majątek ziemski, składający się z Czaykówki, Sieniawki, Krętego-potoku i Bykówki; przytem była huta szklanna, w Czaykówce i Krętym-potoku fabryki żelaza, a w Bykówce fabryka wyrobów drzewnych. Wszystko to razem wynosiło dwa tysiące kilkaset „dusz“ włościan i 300 włók lasu drzewa masztowego. Taka pozycya materyalna stawiała go w rzędzie bardzo zamożnych obywateli ziemskich i czyniła jednym z pożądanych kandydatów do stanu małżeńskiego. Młody panicz zamknął się z początku w nielicznem kółku najbliższego sąsiedztwa i namiętnie oddał się polowaniu, w którem jego energia znajdowała dostateczny upust. W tym czasie doznał także silniejszych wrażeń miłości. Przedmiotem jego afektów stała się panna starsza od niego, ale zapalona entuzyastka i wielbicielka poezyi. Była to panna Seweryna Zaleska, córka marszałka Zaleskiego z Pilip. O małżeństwie nie mogło być mowy z powodu różnicy wieku, to też cała ta miłość zakończyła się gorącemi dysputami o Byronie i Walter-Scocie.

Nowe stanowisko „obywatela“ w wielkiej rodzinie szlacheckiej, wkładało na niego obowiązki, wynikające zarówno z solidarności stanowej jak i osobistych interesów. Skutkiem tego musiał coraz częściej z samotności Halczyniec wychylać się. Wielkiem ogniskiem zabaw i interesów ówczesnych był Kijów. Sławne niegdyś kontrakty Dubieńskie przeniosły się do starożytnego Kijowa, a z niemi i liczne zjazdy szlachty. Udał się tedy do Kijowa i Czaykowski w licznem bardzo towarzystwie w początkach stycznia 1830. To zetknięcie się z miastem dużem, rozbawionem, w którem złoto pobrzękiwało wszędzie, a żyły jeszcze tradycye polskie, ogromny miało wpływ na żywy i wrażliwy umysł młodzieńca. Z poezyą w duszy, obdarzony łatwością przyjmowania wrażeń, że tak powiem, barwnych, rozkochał się w Kijowie. Zdawało mu się, że widzi w mieszczaństwie kijowskiem resztki dawnej kozaczyzny, w milicyi miejskiej, ubranej jeszcze po dawnemu — zmartwychwstałych kozaków, a wszystkie rozmowy na temat marzeń warszawskich wydawały mu się echem rozbudzonego kozackiego życia. Z prawdą i rzeczywistością nie liczył się i nie umiał się liczyć; złudzenia i wrażenia brał za rzeczy-

wistość i przetwarzał je w żywym swoim umyśle na obrazy napół fantastyczne. Rojno, huczno, wesoło było. Z całym zapasem świeżości młodej duszy rzucił się „Zahonysty“ Ukrainiec w ten wir hulaszczy życia, czerpał sam pełną garścią anegdoty, legendy, fraszki szlacheckie, plotki i romansowe powieści, które później przetwarzał na obrazy własnej swojej, oświetlonej fantastycznem światłem, Ukrainy.

Gdy w Królestwie przygotowywały się smutne wypadki, które miały wkrótce wybuchnąć, na Rusi patrzono na to obojętnie a nawet z pewnem niedowierzaniem i lekceważeniem. Bawiono się z zapomnieniem młodego wieku; oficerowie gwardyjscy rej wodzili śród młodzieży i szlachty. Mała garstka zaledwie inaczej była usposobioną. W tem towarzystwie mięszanem, w którem żyli Czetwertyńscy, Rzewuscy—Adam i Henryk — i mnóstwo drobiazgu szlacheckiego, wyrastającego na późniejszych panów, żył Michał Czaykowski. Nad obojętnością poczęło powoli brać górę rozbudzenie się krajów ruskich i objawiały się coraz życzliwsze sympatye dla królestwa. Ale to do rzeczy nie należy, a Czaykowski w ruchu przygotowawczym żadnej roli nie odegrał; brał go gorąco, tak jak większość współtowarzyszów jego zabaw i przygód i na tem się wszystko kończyło. Zaczynał wchodzić powoli w tryb powszechnie panujących w szlacheckiem społeczeństwie warunków życia. W czasie pobytu cesarza Mikołaja I, w Kodni, w Żytomierzu, na balach szlacheckich bywał, bawił się, tańczył, a nawet, zwróciwszy na siebie uwagę cesarza, został kamerjunkrem. Cesarz dał mu do zrozumienia, że w Petersburgu karyerę wojskową mógłby zrobić i kto wie czy p. Michał nie byłby poszedł tą drogą, gdyby późniejsze wypadki nie wyrzuciły go z kolei. Zwrócenie uwagi na niego cesarza, zwiększyło jego popularność do tego stopnia, że na wyborach powiatowych w Żytomierzu, pomimo że nie miał jeszcze pełnoletności, został większością jednego głosu w walce wyborczej z Janem Głębockim, krewnym swoim, marszałkiem wybrany. Ustąpił wszakże pierwszeństwa wujowi.

Tymczasem wypadki warszawskie rozwijały się coraz szybciej i płomień ogarniać począł sąsiednie prowincye. Nie brak było takich, którzy objeżdżali Wołyń, wędrując od komina do komina, i zachęcając do zbrojnej dywersyi na korzyść walczących w Kongresówce. Tu i ówdzie odzywały się

głosy przychylne. Dopiero wszakże Wincenty Tyszkiewicz pierwszy zorganizował pomoc w pieniądzach i ludziach. Jak się rozwinęły wypadki powstania w ziemiach ruskich, nad tem zastanawiać się nie będę, gdyż przedewszystkiem w niczem one nie wpłynęły na charakter, usposobienie i rozwój umysłowy Michała Czaykowskiego, a następnie nie odegrał on w tym ruchu żadnej wybitnej roli. Jako porucznik w oddziale tak zwanej jazdy wołyńskiej Karola Różyckiego, przebył krótką kampanię, poczem wyparty do Galicyi, emigrował do Francyi i tu dopiero rozpoczął swoją działalność literacką.

Do tej też doby jego życia przejdziemy teraz.

III.

Rząd francuski internował znaczną część Polaków w Bourges. Zgromadzenie większej ilości ludzi młodych, pozbawionych regularnej pracy, a często i środków do życia, wytworzyło w małem miasteczku ognisko swarów, niezadowolenia z tego co się stało i jak się stało, i rozwinęło w wysokim stopniu ducha krytyki. Zarówno w tem maleńkiem miasteczku jak i w innych ludzie poczęli się grupować pod hasłem dwóch idei: arystokracyi i demokracyi i prowadzili zażartą między sobą wojnę. Pierwsi gromadzili się koło idei monarchicznej, którą utożsamiali z ładem, porządkiem i marzyli za jej pośrednictwem odzyskać to, co utracili dziadowie i ojcowie. Brakło tylko na razie przewodnika, a raczej widomej głowy, koło której mogliby się skupić współwyznawcy. Stanowisko to powoli zdobył sobie powagą, taktem i rozumem ks. Adam Czartoryski, niegdyś kurator okręgu naukowego wileńskiego [1]).

---

[1]) Część emigracyi polskiej wystosowała do ks. Adama list, wzywający go niejako do tego, ażeby na czele interesów polskich stanął. „W krytycznem położeniu tułactwa, nie widząc godziny życia lub skonu nadziei naszych; spostrzegamy dalej, że rozrzuceni po wolnych dziedzinach Franków, nie mamy żadnego punktu, któryby centralizował opinie nasze i któryby zarazem jednym silnym i nierozerwalnym węzłem połączył rozprószone szczątki tułactwa i ustalił siłę jedności, całości, coby się i czasowi i wszelkim zamachom bezpiecznie opierać mogła, postanowiliśmy stworzyć takową reprezentacyę, któraby, będąc wypełnie-

Grupa postępowa, jeżeli można ją tak nazwać, skupiła się koło *Towarzystwa demokratycznego*, założonego 17 marca 1832 r. Uznawali oni potrzebę przeprowadzenia pewnych reform społecznych, mających służyć podwaliną przyszłej pracy skupionych sił demokratycznych na emigracyi, jakoteż przyszłego ustroju Polski. Niektóre z postulatów tego *Towarzystwa*, wyrażone w manifeście z r. 1836 były postawione jasno, śmiało i trafnie, inne należy uważać za błędy wynikłe z teoryi historyozoficznych Lelewela. Manifest głosił, że przyszła Polska będzie demokratyczną, że wszechwładztwo *wróci* do ludu, że lud powinien być usamowolnionym w ten sposób, ażeby stał się właścicielem uprawianej ziemi. W owej idealnej przyszłej Polsce wszyscy mieli być równi i wolni. Wszelkie „gabinetowe układy“ odrzucano. „Wszystko dla ludu i przez lud“ — oto była najogólniejsza zasada owoczesnej demokracyi. Błędnem natomiast było twierdzenie, że dawna Polska „rozwijała demokratyczną ideę Słowian“ i że po upadku Rzptej idea powyższa straciła reprezentacyą. W owe czasy ani świadomego zrozumienia tej idei nie było, ani też Polska walki o nią, jako celu państwowego, przed sobą nie miała. W walkach naszych nie poczucie współplemienności i potrzeby obrony, lecz idea chrześciańska była przewodnią.

W sporach bratobójczych, toczonych na bruku Bourges, Poitiers, a głównie w Paryżu, Czaykowski udziału nie brał prawie żadnego. Z demokracyą nie sympatyzował; arystokracya, przedmiot gorących napaści większości wychodźców, nie była jeszcze zorganizowaną. Wkrótce po przybyciu do Bourges, młody, rezolutny i gładki szlachcic ukraiński, wszedł do towarzystwa francuskiego i w jednym z domów mieszczańskich poznał piękną córkę miejscowego architekty. Z natury kochliwy, zakochał się prędko, i niedługo czekając, ożenił się, a wkrótce potem przeniósł się do Paryża na stałe mieszkanie. Tu, dzięki swemu materyalnemu stanowisku w kraju,

---

niem woli całego ogółu tułactwa, odpowiadała gwałtownej potrzebie centralizacyi. — —“ Znajomość dyplomatycznych operacyi, rozległe stosunki wskazywały ks. Adama, dlatego też emigracya „prawie jednomyślnie“ prosiła go „aby na tej drodze wobec władców Europy upominał się o życie wolnej, całej i niepodległej ojczyzny naszej“. (Nowa Polska, 1833, str. 11).

zbliżył się do obozu arystokracyi: zapoznał się z ks. Adamem Czartoryskim, z hr. Czarkowską, z panią Białopiotrowiczową, urodzoną ks. Giedroyć, odnowił znajomość z hr. Wład. Zamoyskim. Były to stosunki dość zażyłe, bo, kiedy poczęły sypać się dzieci, pierworodnego syna Adama — Michała trzymał do chrztu ks. Adam; Władysława — Władysław hr. Zamoyski z Białopiotrowiczową. Później przybyły jeszcze córki: Karolina, która wyszła zamąż za Suchodolskiego, inżyniera, i Michalina, najmłodsza, za dra Gutowskiego. Synowie otrzymali wykształcenie wojskowe w Saint-Cyr, a później weszli obydwa do służby tureckiej, do Kozaków Ottomańskich. Starszy towarzyszył w r. 1871 ojcu w powrocie jego do Rosyi i wstąpił do armii rosyjskiej w stopniu pułkownika; drugi, jakkolwiek nie zmienił swego wyznania chrześciańskiego przyjął później tytuł Muzaffer-Paszy, dosłużył się stopnia generała dywizyi, iest adjutantem Sułtana i zarządcą cesarskiej stadniny.

Życie rodzinne w Paryżu, usunięcie się od hałaśliwego ruchu emigracyjnego, przyczyniły się niemało do skupienia się w sobie, do odtwarzania w pamięci tego życia, które w stronach ojczystych przeżył, i tych ludzi, których znał lub słyszał o nich. Reminisencye osobiste z dodatkiem różnych marzeń i poglądów o kozaczyznie, które bezwiednie ale silnie wsiąknęły w jego organizm, były pierwszym impulsem do odtworzenia według własnych pojęć kozackiego życia i ludzi. Tą drogą zapewne powstały *Powieści kozackie*, które w r. 1837 wyszły w Paryżu, były przyjęte bardzo życzliwie i popchnęły Czaykowskiego na drogę pracy literackiej.

Ażeby nie przerywać ciągłości opowiadania, zajmę się dalszym losem życia i pracy późniejszego Sadyka - Paszy, a działalności literackiej poświęcę osobny rozdział.

Zanim Czaykowski zabrał się do pisywania powieści, już był się poprzednio dał poznać z artykułu o kawaleryi, zamieszczonym w piśmie Le *Spectateur militaire*. Artykuł ten zwrócił na siebie uwagę ówczesnego ministra wojny marszałka Soult. Marszałek zapragnął go poznać, poznał i zaproponował mu wstąpienie do służby francuskiej w stopniu, jaki posiadał w oddziale Różyckiego. Z tym zamiarem odesłał go do generała Schneider'a, który mu oświadczył, że gotów jest przyjąć go, jeżeli zechce, do legionu cudzoziemskiego. Czay-

kowski odmówił. Zanim jednak do tego przyszło, poszedł do ks. Adama, przedstawił mu całą sprawę i o radę zapytał. Czartoryski odradził. „Zostań ze mną — rzekł — pracujmy razem, w nas tylko samych i w Bogu pokładając nadzieję“. Ks. Adam w owe czasy już miał sformułowane główne zasady swojej polityki — wewnętrznej, — w stosunku do emigracyi i zewnętrznej — w stosunku do państw i interesów europejskich. Co do pierwszej — nie zwracał żadnej uwagi na emigracyjne swary, wzajemne oczerniania się i krytykomanię; wobec zaś rządów francuskiego i angielskiego zająć stanowisko prawowitego reprezentanta sprawy polskiej i dążyć do otrzymania od nich przyrzeczenia, że żadne decyzye nie będą powzięte, dotyczące emigracyi szczególnie, bez naradzenia się z jej reprezentacyą. W ten sposób zdawało się, że można będzie stworzyć rodzaj programu polityki zewnętrznej, odpowiadającego potrzebom bieżącej chwili.

Po tej stronie stanął Czaykowski, czyli przyłączył się do stronnictwa, jak wówczas mówiono, arystokratycznego. Z działalnością towarz. demokratycznego nie sympatyzował. Był on zanadto szlachcicem, nasiąkłym warstwami przywilejów, a w stosunku do innych warstw społecznych, jakoteż do ludu uznawał tylko drogę łaski i osobistej woli. Krytykę działalności i zasad *tow. demokr.* wyraził słowami jednego ze swoich bohaterów: „Wszystkich waszych andronów nie rozumiem, to nie przy mnie było pisanem; szlachcic polski jestem i wyście szlachta, albo się kłóćmy i bijmy, albo się godźmy i pijmy. Pszczoły bez matki, stado bez ogiera nie chodzą na tym bożym świecie; naszą polską matką, naszym ogierem był król od wieków. Trzeba króla, żeby kazał szlachcie na koń i na wroga, a chłopom powiedział: bijcie się, a jesteście szlachtą; po zwycięstwie, jak będziemy sami u siebie gospodarzami, król każe dać ziemię tym, którzy jej nie mają, a tym, którzy jej zanadto mają, weźmie i zapłaci pieniędźmi; da wszystkim równe prawa i przywileje, nikomu nic nie zabierze, a wszystkim da; nikogo nie poniży, a wszystkich podwyższy. Precz z cudzoziemskiemi demokracyami, republikami; uszlachceni chłopi z mieszczanami, i żydzi, i cygani ze szlachtą będą Polakami, a nad nimi król z prawem“. (Pisma t. IX, 130).

Mniejsza z tem jakby wyglądała owa Polska z samej

szlachty złożona, bo i uszlachceni przeszliby do jej szeregów, dość, że w taką szlachecką Polskę Czaykowski jakiś czas wierzył na seryo [1]).

Przyjąwszy program polityczny ks. Adama, pracować w tym kierunku zaczął, dodając i swoich poglądów nie mało, które z czasem do polityki jego stronnictwa weszły. Było to wprowadzenie do niej pod różną formą „idei słowiańskiej“. Uważał tedy przedewszystkiem potrzebę zbliżenia się do Rzymu. Jakkolwiek wyznawał przekonanie, że katolicyzm oderwał Polaków od słowiańszczyzny, jednakże wiedział, że jest on jeszcze tak potężną siłą żywotną świata cywilizowanego, że nawiązanie z nim stosunków politycznych, za pośrednictwem Rzymu, uważał za rzecz niezbędną. Następnie pragnął trwałych stosunków politycznych z Turcyą, jako z państwem, które w końcu XVIII w., w chwilach najcięższych Rzptej, okazało się dla innej przychylnem. W końcu życzył nawiązania stosunków z narodami chrześciańskimi półwyspu Bałkańskiego, a głównie ze Słowianami. Wierzył on z wielu innymi, że najłatwiej dążyć można do restytucyi praw drogą układów dyplomatycznych, a w tym celu należałoby stworzyć rodzaj ciała dyplomatycznego na emigracyi, któreby nad interesami polskimi czuwało. W skuteczność żadnych rewolucyi i spisków nie wierzył, gdyż uważał, że Polacy nie są w stanie prowadzić skutecznej walki z trzema potężnemi mocarstwami. Stąd też był nieprzyjacielem wszelkiej prowokacyi.

Według jego mniemania należało akcyę rozwinąć poza krajem, poza krajem przygotować siły wojskowe i wpływy polityczne, które w razie wojny mogłyby na korzyść interesów narodowych polskich działać i kierunek im nadawać. Na czele takiej akcyi powinna być głowa widoma, człowiek o ile można znany w świecie politycznym i popularny w kraju, zajmujący takie stanowisko na pół legalnie, przy tem nie za-

---

[1]) Na lewym flanku *Tow. demokr.*, jako harcownik, posiadający obfity słownik łajanek, zaliczał się J. B. Ostrowski. O nim to *Pszonka* wyraził się dowcipnie: „Pan J. B. O. ciągle zapisuje a zapisuje, że *Tow. demokr.* — to nic; centralizacya jego — także nic, i o tem *nic*, pisząc krótko, już kilkanaście półarkuszy zapisał. O panu J. B. O. nie można powiedzieć, że jest nic, jest *coś*, ale coś tak dziwnego, że jak je wyciśniesz, otrzymasz właśnie — nic“. (R. 1839, nr. 6, str. 35).

den rewolucyonista, a tembardziej demokrata. Nie był to bynajmniej pogląd Czaykowskiego tylko. Oczywiście według takiej dyrektywy najlepiej odpowiadał życzeniom pewnej części emigracyi ks. Adam Czartoryski. Na tym też punkcie nastąpiło zobopólne zbliżenie się i zapewne Czartoryski począł Czaykowskiego do różnych missyi używać. Rozpoczęto od gruntu paryskiego, na którym trzeba było przeprowadzić porozumienie z Turcyą i południowymi Słowianami. Ambasadorowie Porty, Teethi-Pasza i Reszyd-Pasza pracowali oddawna i usilnie nad tem, ażeby w prowincych swoich naddunajskich, gdzie polityka rosyjska starała się zapuścić korzenie, stworzyć jakieś ognisko odporne Rosyi. Dla nich tedy nielegalna i nieuznana jawnie, a jednak czynna polityka polska w sprawie wschodniej, bardzo była na rękę. Plan przeto zbliżenia się ze Słowianami bałkańskimi odpowiadał niejako ich myślom i zamiarom, nic przeto dziwnego, że uznanie znalazł.

Czaykowski miał go w czyn wprowadzać stante pede, w Paryżu. Mieszkała tam gromadka Serbów, Bułgarów, Wołochów, z którymi przedewszystkiem nawiązał stosunki p. Michał, zapoznał ich z ks. Adamem, który nad nimi rozciągnął rodzaj opieki. Jak te sprawy i jaką drogą szły — nie wiemy dokładnie, gdyż paryskie archiwum ks. Czartoryskich jest tylko dostępne dla tych, którzy polityką i działalnością polską na wschodzie nie zajmują się. Dość, że ciągnęły się te przedwstępne przygotowania aż do r. 1840. W tym roku Czaykowski, w myśl wiązania sprawy polskiej ze sprawą katolicyzmu, udał się do Rzymu, zaopatrzony w listy polecające ks. Adama do Papieża Grzegorza XVI. Entuzyastycznego przyjęcia tam nie spotkał. Przedewszystkiem powitali go bracia Zmartwychstańcy uprzejmie ale chłodno, dając do zrozumienia, że trudno mu będzie uzyskać audyencyę zarówno u kardynała ministra jak i u Papieża. Mimo to wszakże Czaykowski dotarł zarówno do kardynała Lambruschini'ego jak i do Ojca św. Wątpić należy czy z tego widzenia się wynikły jakie poważne rezultaty. Papież ograniczył się do zwykłych ceremonialnych oświadczeń, zapytał o sprawy polskie, o rok 1831 — i na tem koniec. Kardynał napisał do ks. Adama bardzo słodki list, chwaląc oddanie się i zręczność Czaykowskiego. Chodziło tu, jak się zdaje, o utworzenie rodzaju misyi katolickiej na wschodzie i o połączenie jej w akcyę poli-

tyczną śród Słowian bałkańskich na korzyść Polski. Poselstwo to od ks. Adama podchwyciły pisma krajowe *Pszonka* i *Młoda Polska* i wyśmiały je. Ubodło to Czaykowskiego. A ponieważ w tej całej sprawie zachowywał się bardzo tajemniczo, podejrzywał zakulisową działalność hr. Władysława Zamoyskiego, z którym się ustawicznie stykał niby na jednej drodze, ale ciągle mimo to walczył, jakoteż hr. Cezarego Platera. Na emigracyi szarpali go nieraz ostro Zienkowicz i M. B. Ostrowski, krzykacz emigracyjny. Czy usiłowanie Czartoryskiego, utworzenia przy Papieżu za pośrednictwem Czaykowskiego, rodzaju agencyi dyplomatycznej polskiej, powiodło się, dziś trudno orzec stanowczo; tem trudniej powiedzieć w jakiej to formie miało miejsce. To tylko jest rzeczą pewną, że myśl ta nie dała się utrzymać i urzeczywistnić.

Zanim się jednak ułożyła misya polityczna Czaykowskiego do Rzymu i na wschód, próbowano zainaugurować politykę słowiańską na wschodzie, wiążąc ją z interesami Francyi, Anglii i Turcyi. W sprawę tę wmięszał się, jak to się często zdarza, awanturnik, Czarnogórzec, niejaki Wasowicz, nazywający się księciem. Wykształcony w szkole kadetów w Petersburgu, ożeniony z Rosyanką Kisielewską, wysłany został na Kaukaz dla zdjęcia rozmaitych planów. Plany zdjął, ale opuścił służbę rosyjską i przybył z nimi do Carogrodu, gdzie złożył do dyspozycyi Wysokiej Porty. Seraskierem był wówczas Hozrew-Pasza, za pośrednictwem którego Wasowicz został mianowany profesorem w szkole inżynierskiej. Na reklamacyę wszakże rządu rosyjskiego, domagającego się wydania jego, musiał służbę opuścić. Wówczas wzięła go w opiekę Anglia. Lord Ponsonby, ambasador angielski, mianował go konsulem angielskim w Nowym-Bazarze, na granicy Czarnogóry. Wasowicz wywołał tam jakąś awanturę, w której zabił dwóch Muzułmanów, a unikając zemsty mieszkańców, umknął do Serbii, gdzie książę Miłosz dał przytułek jemu i jego rodzinie. W Belgradzie nie miał jednak wiele do czynienia i dlatego szukał sposobności zaofiarowania swoich usług Francyi. W tym celu przybył do Paryża, został przedstawiony marszałkowi Soult i otrzymał polecenie weryfikowania map rosyjskich, znajdujących się w generalnym sztabie francuskim. Jako zdolny oficer, Wasowicz wywiązał się ze swego zadania dobrze, i do planów, nawiązania stosunków na Wscho-

dzie, był polecony ks. Adamowi i hr. Wład. Zamoyskiemu. Człowiek zręczny, gładki, wykształcony, wymowny, znający dobrze język francuski a nawet polski, potrafił obudzić ku siebie nadzieje, a co ważniejsze zaufanie. Już do Paryża przyjechał z pretensyami do tronu czarnogórskiego i pretensye te podtrzymywał. Jakiej one były wartości, trudno orzec, a zresztą do opowiadania to nawet nie należy; chodzi o to o ile rola Wasowicza związaną była, a raczej o ile i jak starano się związać ją z interesami Polski. Wykazano temu pretendentowi przedewszystkiem potrzebę zmiany wyznania wschodniego na katolicyzm i pod tym warunkiem obiecano go popierać na tron. Współcześni posądzali o to ks. Wł. Zamoyskiego i Platera, którzy potrafili ks. Adamowi wytłumaczyć doniosłość popierania tego pretendenta. Układy z Wasowiczem odbywały się w tajemnicy, a Czaykowski, jak się zdaje, stał na uboczu. Tajemnica nie była jednak zbyt ścisłą, gdyż część wychodźców, zbliżona do Hotelu Lambert, wiedziała co się święci, a co ważniejsza patrzono na tę akcyę nieprzychylnie, upatrując w niej pewnego rodzaju kompromitowanie się widomej głowy emigracyi polskiej.

Wasowicz, który w rzeczach wiary był człowiekiem obojętnym, chętnie podjął się politycznej roli, upatrując w zmianie religii środek zdobycia pieniędzy na własne cele. Wziąwszy pod opiekę tego dziwnego księcia, otoczono go całym sztabem oficerów, co tem łatwiej dało się zrobić, że pieniędzy dostarczył marszałek Soult. Farsa ta polityczna, w której niepoślednią rolę odegrał hr. Wład. Zamoyski, miała się rychło zakończyć. Tymczasem wystarano się przy pomocy bogatej dewotki pani Beamont o kupienie okrętu dla całej ekspedycyi, utworzono dla przyszłego księcia panującego świtę z Polaków i Irlandczyków i zawarto formalny traktat w imieniu ks. Adama, który później został ogłoszony przez „Pszonkę“ [1]).

---

[1]) „Sam Serwantes zdumiałby się na takie poprawne wydanie, na takie zastosowanie do spraw polskich swojego Don-Kiszota“ — tak się odezwał *Pszonka*, przytaczając „Traktat między Jego Wysokością ks. Adamem Czartoryskim, a Jego Wysokością ks. Wasowiczem, „ożywionym chęciami przygotowania szczęścia i pomyślności ludom plemienia słowiańskiego“. Traktat ów składał się z 15 paragrafów, z których kilka ważniejszych streszczamy:

Lwią część materyalną w całej ekspedycyi wziąść miał na swoje barki Papież, ponieważ chodziło tutaj o przywrócenie na łono kościoła katolickiego Słowian południowych. Wasowicz odjechał do Rzymu, hr. Cezary Plater, za pośrednictwem hr. Montalambert, gorliwego katolika, postarał się o wyrobienie mu audyencyi u kardynałów i Ojca św. Towarzystwo szerzenia wiary chrz. w Lugdunie miało się także jednym milionem franków przyczynić do zwycięstwa katolicyzmu. Wszystko zdawało się być na najlepszej drodze, gdy nagle Porta zaprotestowała przeciwko całej robocie. Po stronie Turcyi stanął lord Palmerston, utrzymując, że wywoła to zamięszania na wschodzie wcale niepożądane. Istotnie, trudno było zrozumieć tę politykę, dążącą wyraźnie do wywołania burzy na Bałkanie, a zatem działającą wbrew interesom W. Porty, a równocześnie wbrew celom zasadniczym polityki polskiej: utrzymania całości Turcyi i wzmocnienia stanowiska Sułtana. Tkwiła w tem jeszcze i ta strona niebezpieczna, że występując przeciwko religii wschodniej, wywoływało się także widmo walki z Rosyą.

W Konstantynopolu siedział wprawdzie z ramienia reprezentacyi emigracyi gen. Chrzanowski, ale rezultaty jego pobytu były bardzo małe, tak samo jak Wereszczyńskiego,

---

§. 2. Ks. Adam Czartoryski uznaje za rzecz pożyteczną dla sprawy ludów plemienia słowiańskiego, aby ks. Wasowicz (goły jak święty turecki) uorganizował plemię, którego był naczelnikiem (miał się za Naczelnika), jakoteż innych Słowian, którzyby z własnej woli uznali jego zwierzchnictwo. Ze swej strony ks. Wasowicz uznaje za rzecz nieodzowną dla pomyślności ludów słowiańskich niepodległy byt Polski w jej dawnych granicach, jakoteż wszelkie władztwo ks. Adama Czartoryskiego nad tym wielkim narodem.

§. 4. Ks. Czartoryski zobowiązuje się dostarczyć p. W. 60.000 fr., 300 Polaków oficerów i żołnierzy, 15.000 karabinów.

§. 6. Przy boku ks. Wasowicza miał być ajent ks. Czartoryskiego.

§. 10. Ks. Wasowicz zobowiązał się na żądanie ks. Czartoryskiego zorganizować w swoim kraju korpus polski, udzielić mu schronienie, kwaterunek i protekcyę. (*Pszonka,* art. *Gra w monarchów* str. nienumerowane).

Wasowicz z całym tym aparatem udał się do Rzymu z zamiarem wciągnięcia do gry Papieża. Opowiadano na emigracyi, że cała ta wyprawa zakończyła się bardzo niewesoło.

który jeszcze od r. 1831 tam przesiadywał. Akcya ich na wschodzie była tak drobną i niewyraźną, że po nieudałej ekspedycyi Wasowicza, okazała się konieczna potrzeba poprawienia błędów i nawiązania nowych stosunków w Turcyi. Tu postać Czaykowskiego śród otoczenia ks. Adama wysuwała się poniekąd na czoło. Myśl działania z Turcyą wspólnie, ażeby w tej wspólności znaleść interes Polski, jak głosił Czaykowski, odpowiadała intencyom zarówno Reszid-Paszy jak i Guizota. Rozbudzenie żywiołów słowiańskich w Turcyi przeciwko Rosyi i połączenie ich niejako ze sprawą Polski, było jedną z tych mrzonek politycznych, która nie miała żadnej podstawy ani historycznej ani praktycznej. Ażeby jej nadać jakiekolwiek pozory prawdy, obrońcy tej chimerycznej tezy sięgać musieli aż do Władysława Warneńczyka, podsuwając pod hasła religijne ideę obrony narodowości słowiańskich. Według teoryi historycznych Czaykowskiego przyczyną upadku Polski było oddzielenie się jej od wspólnego interesu Słowian i od Słowian wogóle. Skutkiem tego wlokła się ona, że tak powiem, na ogonie polityki zachodnio-europejskiej i stała się igraszką w ręku Niemców i innych państw Europy. Ażeby poprawić ten wiekowy błąd, należało do Słowian się zbliżyć. Czaykowski wybrał drogę zbliżenia się przez południowych Słowian, najmniej uświadomionych politycznie, niewykształconych państwowo i kulturalnie, nie nadających się więc zupełnie do roli pożytecznego alianta. Pominięto natomiast Czechów, z którymi związek mógłby być istotnie dla sprawy słowiańskiej pożyteczny.

Zadanie polityczne Czaykowskiego na wschodzie, przy zetknięciu się z rzeczywistem położeniem rzeczy, znacznie się zwęziło, a raczej wyrobiły się inne dyrektywy postępowania, nie pozbawione pewnej słuszności.

Wyjechał tedy Czaykowski na Wschód w r. 1841 w charakterze członka korespondenta instytutu historycznego w Paryżu z misyą niejako urzędową, nadaną mu przez Guizota, robienia studyów historyczno-etnograficznych w prowincyach słowiańskich cesarstwa otomańskiego. Stanowisko takie pozwoliło mu korzystać z urzędowego poparcia rządu francuskiego, a równocześnie jako ajent dyplomatyczny ks. Adama mógł reprezentować do pewnego stopnia interesy polskie i w tym kierunku rozwinąć agitacyę.

Jak działał Czaykowski, śród jakich okoliczności, z jakimi ludźmi i jakie rezultaty osięgnął — pozostało to dotychczas po większej części tajemnicą archiwum Hôtel Lambert. Na podstawie pogłosek i sądów emigracyjnych, często stronnych i nacechowanych żarliwością partyjną, można byłoby tylko zbudować gmach z mniej lub więcej prawdopodobnych domysłów. Taką pracę uważałbym wszakże za bezpłodną. Muszę ograniczyć się przeto do mniejszej ilości szczegółów, do dat pewniejszych i zatrzymać się dopiero na chwili czynów, które, jakkolwiek również starannie przechowywane w tajemnicy archiwalnej, stały się jednak, skutkiem swojej rozgłosności i jasności, dostępne dla przedstawienia historycznego.

Przybywszy w końcu października r. 1841 do Konstantynopola, Czaykowski zastał liczną kolonię Polaków, na czele której stał Wereszczyński. Oprócz niego przebywali tam także Ludwik Zwierkowski, znany pod nazwiskiem Lenoir'a, jako wysłaniec krewnego swego, posła, Walentego, mający misyę skonsolidowania emigracyi. Wogóle w życiu emigracyjnem nadzwyczaj burzliwem i kłótliwem, poczęły ujawniać się dążności pojednawcze, jako wynik potrzeby zjednoczenia sił. Próba tego zjednoczenia pod hasłem „demokracyi szlacheckiej“, podjętą została przez wojewodę Antoniego Ostrowskiego, posła Jana Leduchowskiego, generała Józefa Dwernickiego; nawet Lelewel nie uchylał się od tej akcyi. Rola Lud. Zwierkowskiego była nie wyraźną. To tylko jest rzeczą pewną, że z początku występował przeciwko ks. Adamowi o tyle przynajmniej, że czynności jego agentów kontrolował i zdawał o tem raporty do Paryża, gdzie przedostawały się do dzienników emigracyjnych i służyły za materyał polemiczny. Zwierkowski i Czaykowski nie znali się. Zwierkowski bywał jednak częstym gościem Wereszczyńskiego i za pośrednictwem jego zapewne dowiedział się o celach i zadaniach, jakie miał przed sobą Czaykowski. W tym czasie nastąpiło nawrócenie Zwierkowskiego. Pewnego dnia przybył do Czaykowskiego i oświadczył mu, że na przyszłość nie będzie działać przeciwko ks. Adamowi Czartoryskiemu, gdyż przyszedł do przekonania, że działać by musiał wbrew interesom polskim. Od tej chwili stał się on przyjacielem i współpracownikiem Czaykowskiego, z jego ramienia i polecenia jeździł do

Serbii i na Kaukaz w rozmaitych misyach, a nareszcie, wróciwszy do Paryża, został pośrednikiem między ks. Adamem a Czaykowskim.

Przybywszy do Carogrodu, Czaykowski nawiązał natychmiast stosunki z ambasadorem francuskim, hr. de Pontois, i z Ant. Alléon, jednym z pierwszych bankierów w Konstantynopolu, który cieszył się łaskawymi względami Sułtana Abdul Medżyda i Turków wogóle, a wkrótce stał się przyjacielem i powiernikiem Czaykowskiego. Niezapomniał także o misyi katolickiej. Skutkiem tego było zbliżenie się do przeora Lazarystów, które mu się przydało później, gdy mu przyszła myśl, wykonana wkrótce, założenia w Turcyi kolonii polskiej.

Łatwość towarzyska, ogłada salonowa, doskonała znajomość języka francuskiego, a przytem pewna zręczność dyplomatyczna, ułatwiały mu ogromnie nawiązywanie stosunków. Dzięki tym przymiotom, które nie zawsze względem braciemigrantów stosowane bywały, wszedł on w koła polityczne tureckich mężów stanu, mianowicie z Hozrew-paszą, słynnym ze skasowania Janczarów, z Achmed-paszą, jakoteż z Mechmedali, siostrzeńcami Sułtana i z Riza-paszą.

Przygotowawszy sobie w ten sposób teren działania, przystąpił do nawiązania stosunków z Serbią, Rumunią i Bulgaryą. Tu, jak się zdaje, główną cechą jego działalności była propaganda w celu zniweczenia wpływów rosyjskich i przywiązania tych narodowości do Turcyi, zawsze z myślą, ażeby Portę wzmocnić niejako wewnętrznie i uczynić ją odporniejszą na politykę Rosyi. Co z tego dla sprawy Słowian południowych, a tembardziej dla interesów polskich wyniknąć mogło dobrego — trudno nam dziś, z dzisiejszego stanowiska ocenić. To tylko nie ulega wątpliwości, że polityka kompromisów i ustępstw dla Turcyi ze strony Słowian nie miała przed sobą przyszłości, gdyż na tej drodze nic Słowianie nie zdobyli. Interesa polskie także mały pożytek odniosły.

Rdzeń rzeczy w innej była stronie — dojrzał to Czaykowski i w swoim czasie potrafił wyzyskać, o ile tylko okoliczności pozwoliły na to.

Niezależnie od rozmaitych drobnych narodowości słowiańskich, u podnóża Bałkanów rozsiadłych, Turcya posiadała jeszcze w swoich granicach żywioły słowiańskie napływowe,

najnowszej formacyi: były to resztki rozbitej i rozprószonej kozaczyzny, które w hulaszczem, nieczynnem i próżniaczem życiu dożywały smutnego końca. Siedliskiem tych niespokojnych, niezdatnych do regularnego państwowego życia elementów, łatwych do samowoli i wybuchów w każdej chwili, a nieświadomych żadnych celów i zadań cywilizacyjnych, była wielka nizina ujścia Dunajowego — Dobrudża. Kraj bogaty, żyzny, obfity w rybę i zwierzynę, w łąki, pola i lasy, dawał życie łatwe przy małej pracy. Otóż w takich warunkach osiedliła się tutaj kolonia kozaków, która, włócząc się w południowych stepach nad morzem Azowskiem i Czarnem, w niezgodzie z prawem i państwem, osiadła nareszcie w Dobrudży. Sułtan żądał od nich tylko pewnej ilości żołnierza konnego w razie potrzeby. Od wodza swego Nekrasy, nazywano ich Nekrasowcami, dla odróżnienia od innych kozaków. Sługiwali tedy Turcyi, bili się pod chorągwią Mahometa — nieliczące się bynajmniej z tem z kim się biją, bo walka, rabunek, mord odpowiadały ich dzikiemu charakterowi.

Na tej samej Dobrudży były także osady kozaków zaporoskich. Z małej grupy Zaporozców, którzy po ostatecznem rozbiciu Siczy, schronili się do Turcyi, wszyscy prawie dawno wymarli, a ci, którzy przyjęli ich nazwę, tradycyę i obyczaje, należeli już nie do regularnych żołnierzy, lecz do oczajduszów całej Ukrainy, Pobereża i Podola, chroniących się tutaj przed pracą lub od prześladowania prawa. I ci mieli służyć Sułtanowi. Służyli, ale dopóki nie było okazyi do wypowiedzenia służby. Taka okazya nadarzała się często — przy każdej wojnie Rosyi z Turcyą. Przechodzili oni wówczas większemi lub mniejszemi partyami na stronę Rosyi, gdzie dowódcy zostawali pułkownikami, a rozpijaczone kozactwo, o ile okazało się niezdolnem do służby wojskowej, wracało do pługa i roli. Znaczna część jednak takich oczajduszów, wolała próżniactwo i pijackie życie w Turcyi niż obiecanki w Rosyi, zostawała w Dobrudży, piła i hulała dalej. Na tem nie koniec. Zaporozcy i Nekrasowcy, gdy nie było z kim walczyć, bili się i mordowali się między sobą. Ażeby położyć koniec temu wzajemnemu mordowaniu się, kozacy Nekrasowcy wysiedlili się z Dobrudży i rozkolonizowali się nad Marycą, w pobliżu Enos. Po wojnie 1828—1829 emigrowali ostatecznie do Bitynii nad brzegi jeziora Manias.

Na Dobrudży pozostali tylko Zaporożcy, zarówno te resztki, które po bitwie Połtawskiej, schroniły się do Turcyi z Mazeppą i Orlikiem, a później tego ostatniego hetmanem uznali, jako też luźne niedobitki kozactwa z różnych czasów i najświeższa pańczyźniana kolonizacya. Siedzieli oni na brzegach Dunawca, gdzie własną Sicz założyli, a Porta uznała ich organizacyę, przywileje, udzieliła inwestytury Atamanowi, któremu nadała tytuł Mirimirana paszy, wymagając od nich, tak samo jak od Nekrasowców, służby wojskowej w czasie wojny.

Ludność owa wsunięta klinem pośród Rumunów, Wołochów i Turków, wyznania wschodniego, nie zwracała wcale uwagi polskich polityków i wysłańców. Ani o tej ludności, ani o jej organizacyi nie miano pojęcia należytego. Czaykowski pierwszy zwrócił na nią uwagę i powziął zamiar zużytkowania dla interesów polskich. Wypadki wszakże, związane z ulubioną przez Czaykowskiego „ideą słowiańską“, nastąpiły później; w swoim czasie wspomnimy o nich.

Po przyjeździe swoim na wschód, Czaykowski sam udał się na Dobrudżę, z kozaczyzną tam rozsiedloną poznał się, stosunki nawiązał i już może wówczas snuły mu się po głowie plany, które w dziesięć lat później dopiero uskutecznić zdołał.

W czasie krótkiego swego pobytu w Konstantynopolu zaszedł wypadek, który miał mieć doniosły wpływ na późniejsze życie prywatne Czaykowskiego: poznał on mianowicie pannę Ludwikę Śniadecką, córkę Jędrzeja Śniadeckiego. Przybyła ona do Konstantynopola z Odessy w jesieni r. 1841, wkrótce przed przyjazdem lub wkrótce po przyjeździe do Carogrodu późniejszego Sadyka-Paszy. Miała zamiar odszukania zwłok swego narzeczonego, który będąc w służbie rosyjskiej oficerem, wyruszył na wojnę turecką w roku 1829, i poległ przy szturmie Szumli. Nazywał się on Włodzimierz Korsakow. Była to kobieta wykształcona, w owe czasy należała do nielicznego grona bardzo postępowych przedstawicielek płci pięknej, ale rozmarzona, sentymentalna, niezrównoważona umysłowo i moralnie. Wychowana w sferze rozbawionej i bawiącej się, zapałała gorącą miłością dla młodego oficera, a gdy go kula turecka zmiotła ze świata, zamknęła się w chorobliwej miłości dla umarłego. Stosunki rodzinne w takich warunkach poczęły być dla niej ciężarem, który znosiła tak długo

jak długo żyli ojciec i stryj. Po śmierci ich uregulowała swoje materyalne interesy i wyjechała na mieszkanie do Odessy, gdzie żyjąc śród wykształconego wyższego towarzystwa rosyjskiego, nie opuszczała nigdy zamiaru przywiezienia do kraju popiołów Korsakowa. Życie towarzyskie unosiło ją wszakże i od zamiaru odrywało. Trwało to przez lat 12. W r. 1841 zachorowała i, czując się blizką śmierci, postanowiła po śmierci przynajmniej zadość swej woli uczynić. Jakie miała plany, jakie myśli i uczucia owładnęły ją — o tem pisać nie będę, gdyż do rzeczy nie należą. Plany te i uczucia wyraziła w testamencie. Przeznaczenie jednak chciało, ażeby i w tym wypadku nie stało się zadość jej życzeniu, bo wyzdrowiała. Uważając to jednak za wskazówkę z nieba, że Bóg pozwolił jej żyć, ażeby zamiary swoje spełnić mogła, wyjechała istotnie do Konstantynopola. Tu, zanim się dostała do grobu kochanka, spotkała na drodze swojej Michała Czaykowskiego — i plany znowu się rozwiały.

Stosunek nawiązał się bardzo rychło i bardzo serdeczny. Czaykowski w podróżach swoich wracał do Carogrodu do nowej hurysy, odjeżdżał i znowu wracał. Prawdopodobnie już wówczas powziął zamiar stale zamieszkać w Konstantynopolu, chodziło mu tylko o ustalenie swojej pozycyi dyplomatycznej na Wschodzie. Ażeby tę zagadkę rozwiązać, musiał się widzieć z ks. Adamem, zdać mu relacyę z czynności swoich osobiście i na opuszczone stanowisko wrócić. Motywował to potrzebą odwiedzenia rodziny, pozostałej we Francyi.

Czartoryski był bardzo z jego raportów zadowolony. „Ucieszyłem się niezmiernie, kochany Czayko, żeś zdrów, chociaż znużony, i że ci się nic złego nie stało. Przez wiele trudów, a nawet niebezpieczeństw przechodziłeś. Na to się nikt nie puszcza bez żadnego osobistego widoku, tylko kiedy go prowadzi miłość ojczyzny, obowiązek i wzniosłe poświęcenie. Będziesz miał pociechę przez użytek różnego rodzaju, który z tego trudu wyniknie, a pożytek pewny będzie przez dokładne poznanie tych krajów, zaprowadzenie stosunków, przez możność osadowienia naszych“. (List. Czartoryskiego z d. 27 czerwca 1842 r.)

Prośbę o powrót ponawiał kilkakrotnie, a w połowie lipca już wsiadł na okręt, z tym zamiarem i chęcią, że wrócić trzeba. Myśl tę podsuwał także ks. Adamowi. „Czujesz

i przekonany jesteś — odpowiada mu książę — że w październiku ktoś powinien być znowu na miejscu w Stambule, aby rzeczy rozpoczęte w niwecz nie poszły, aby podjęte starania i koszta nie były potracone. Nikt lepiej, kochany Czayko, nie poprowadzi i nie utrzyma rozpoczętych rzeczy jak ten, który je zaczął pomyślnie, który już zna ludzi, kraj zwiedził, związki utworzył. Mojem zdaniem *trzeba żebyś wrócił i był* przez jakiś czas ciągłym ajentem w Stambule". (List ks. Adama z d. 17 lipca 1842 r.).

Niczego innego też Czaykowski nie życzył sobie. Powrót do Stambułu odpowiadał jego osobistym intencyom i widokom politycznym. Chodziło o to, ażeby ks. Adam uznał potrzebę tego i dał swoje przyzwolenie. Tak się też i stało.

Ks. Adam nie życzył sobie wszakże przyjazdu Czaykowskiego do Paryża, ażeby zjawienie się jego nie wywołało nowych baśni, obmów, domysłów. W celu zmniejszenia zarówno kosztów jak i uniknięcia możności rozbudzenia nieprzychylnej stronnictwu Czaykowskiego emigracyi, książę radził, ażeby Czaykowski zatrzymał się na Malcie, a stamtąd napisał dokąd na dzień naznaczony sprowadzić życzyłby żonę i dzieci. Czartoryski proponował Lyon, Avignon lub Marsylię. Marsylia wydawała mu się mniej stosowną z tego względu, że tam zamieszkiwało dużo Polaków, którzy Czaykowskiego znali, a książę rad byłby przyjazd jego w tajemnicy zatrzymać. Już wówczas była mowa o tem czy Czaykowski ma zabrać żonę do Stambułu. Pani życzyła sobie tego — mąż niezbyt. Tłumaczył to rozmaitemi trudnościami, ale o najważniejszej przyczynie milczał. Chodziło o to, ażeby ją w nadziei wyjazdu do Konstantynopola utrzymać. W tym sensie też ks. Adam, nie wtajemniczony w stosunek, nawiązany ze Śniadecką, doradzał. Na razie chodziło księciu najwięcej o to, ażeby bodaj przyczynę przyjazdu Czaykowskiego ukryć — a potrzeba zabrania żony, na co w ostatecznym razie decydował się dostarczyć funduszu, miała być parawanem. Sama, bez męża nie mogłaby się puszczać w daleką drogę, przez morze, to wystarczało dla ciekawych. „Pan Zamoyski, Woronicz lub Bystrzonowski pojechać będą mogli gdzie będziesz we Francyi — pisze dalej książę do Czaykowskiego — ażeby wziąść wszystkie raporta, które chcesz przywieść i tysiączne słowne dodatki i objaśnienia o rzeczach i osobach. To się będzie mogło

ułożyć skoro napiszesz gdzie i kiedy na żonę oczekiwać będziesz. Jeśli wysiądziesz w Marsylii, zaraz staraj się tam o paszport nazad do Turcyi; oświadczysz żeś tylko przybył po żonę i dzieci".

Raporta zamknięto w hotelu Lambert, a Czaykowski nie usłuchał rad protektora — i przyjechał do Paryża. O zabraniu do Konstantynopola żony nie mogło być mowy, gdyż w ciągu ośmiomiesięcznego pobytu Czaykowskiego w Francyi utrzymywał on ciągłą korespondencyę ze Śniadecką i nie o żonie tylko o Śniadeckiej myślał. Po wyjeździe utrzymywał wszakże korespondencyę z żoną i dziećmi, które zostały w Paryżu pod opieką ks. Adama Czartoryskiego. Korespondencya ta trwała aż do chwili przyjęcia islamu.

Tak więc Czaykowski wrócił sam na wschód i tam przepędził czas aż do wojny krymskiej na nawiązywaniu i utrzymywaniu stosunków politycznych i trzeba przyznać, że w kołach dyplomatycznych tureckich a nawet francuskich wyrobił sobie bardzo poważne stanowisko. Epoka ta z jego życia prawie zupełnie nieznana, gdyż szczegóły do jego działałalności kryją się w archiwum Czartoryskich w Paryżu, dostępnem „dla bardzo małej liczby badaczy" — zapewne tych, którzy się wojną krymską i przygotowaniami do niej nie zajmują.

Do czasu węgierskiej wojny o istnieniu Czaykowskiego wiedzieli tylko polscy czytelnicy. W walce Węgrów z Austryakami udziału żadnego nie brał. Dopiero po wojnie na pole czynu wystąpił.

Gdy pod koniec kampanii węgierskiej legion polski, będący pod rozkazami hr. Wład. Zamoyskiego, przekroczył turecką granicę i schronił się do Widynia, Czaykowski, posiadający już wówczas wpływy w Konstanynopolu, wyrobił u rządu tureckiego, że żołnierze uznani zostali za stronę wojującą, a hr. Zamoyski za ich dowódzcę. W ten sposób udzielono im niejako opieki państwowej. Rosya i Austrya żądały naturalnie wydania ich; inne mocarstwa nie mogły dość silnie protestować. Wówczas w obronie zagrożonych wystąpił Czaykowski. Zredagował on memoryał do sułtana Abdul Medżida własnoręcznie i w ten sposób sprawa stanęła przed Radą ministrów. Część głosowała za wydaniem ich, inni bardzo ostrożnie za odrzuceniem żądania Rosyi i Austryi, a niektó-

rzy usunęli się zupełnie od narady. Sułtan wyraził chęć zasiągnięcia informacyi Ulemów i powołania ich w tym celu do Rady ministrów. Czaykowski, dowiedziawszy się o tem, udał się do Szeika-ul-Islama, jakoteż do innych, ażeby im przedstawić całą sprawę i prosić o poparcie memoryału. Ulemowie w pełnej radzie oświadczyli się przeciwko wydaniu zbiegłych, dodając, że lepiej raczej należy przyjąć wojnę niż gwałcić prawa gościnności tureckiej. Zanim jeszcze decyzya Sułtana wiadomą się stała, Zià-Pasza zawiadomił z Widynia, że Bem i niektórzy oficerowie polscy i węgierscy przeszli na muzułmanizm. To ułatwiło poniekąd zadanie Turcyi: jedni więc zostali zasłonięci prawem gościnności, inni prawem obywatelstwa tureckiego, połączonego z przyjęciem wyznania Proroka. Tak więc żądaniu Rosyi, ażeby jedni zostali internowani, drudzy wysłani do Ameryki, nie stało się zadość.

Interwencya Czaykowskiego pomyślnie zakończona i ustawiczne jego porozumiewania się ze Słowianami, zwróciły na niego uwagę poselstwa i rządu rosyjskiego. Uważając go przeto za szkodliwego dla utrzymania dobrych stosunków z Rosyą, żądano wydalenia z granic Turcyi, a względnie odwołania go do Francyi. Abdul-Medżid miał odpowiedzieć, że nie widzi do tego dostatecznego motywu tembardziej, że Czaykowski jest pod opieką rządu francuskiego. Na tem jednak nie ograniczyły się nalegania Rosyi. Stosunki z dyplomatami tureckimi przydały się Czaykowskiemu, gdyż zdołał on u Mechmed-Alego, ówczesnego Seraskiera, wyrobić przyjęcie wielu oficerów do armii tureckiej; wówczas to wstąpili do służby tureckiej Żółtowski, Toczyński, Jordanowie i w. in.

Rząd rosyjski podejrzliwem okiem patrzył na działalność Czaykowskiego, a nie mogąc nic począć wobec Porty, która zasłaniała się protegowaniem jego przez Francyę, skierował w tamtą stronę swoją akcyę. Udało się to o tyle, że Prezydent Rpltej francuskiej, na osobiste żądanie Mikołaja I, zdecydował się cofnąć protekcyę. Zawiadomiono o tem generała Aupick, ambasadora francuskiego w Konstantynopolu. Rosya, jak się zdaje, nalegała na wydanie Czaykowskiego lub przynajmniej usunięcie go od czynności. Nadeszły także wiadomości z Paryża, że ani ks. Adam, ani hr. Zamoyski nie poczynili żadnych kroków w celu zniesienia tej decyzyi. Wobec tego Czaykowski znalazł się bez obrony i bez przyszłości.

Należało chyba zerwać związki i te stosunki, jakie już sobie wyrobił był na Wschodzie i prawie rozpoczynać życie na nowo. Wlokła się ta sprawa do r. 1851. Do tej chwili Czaykowski szukał wyjścia z niepewnego położenia. Tu przydały mu się stosunki osobiste. Za pośrednictwem nauczyciela dzieci sułtańskich i Reszyda-Paszy udało mu się sprawę swoją przedstawić Sułtanowi prywatnie. Poradzono mu, w celu uniknięcia raz na zawsze niepokojenia z różnych stron i ustalenia swego bytu na przyszłość, przyjęcie Islamu. Sytuacyi jego politycznej nie tylko nie zmieniało to w niczem, ale przeciwnie nadawało jej trwalszą podstawę, tembardziej, że zmiana religii nie była nie tylko zmianą narodowości, lecz mogła przydać się do tem łatwiejszego służenia interesom narodowym polskim. Był to krok dobrze obliczony pod względem materyalnym, chwila wyczekana i wybrana dobrze, ale bynajmniej nie zdrada i nie odstępstwo. Można go było doskonale celami politycznymi pokryć — i Czaykowski bardzo zręcznie to uczynił.

Od tej chwili przyjął on tytuł Sadyk-effendi i, ażeby nie dać powodu podejrzywania go o materyalną stronę, uchylił się na razie od przyjęcia urzędu tureckiego, zadowalniając się tytułem „effendi".

Zmiana religii zrobiła na emigracyi najgorsze wrażenie, szczególnie w sferach arcy-katolickich. Przedewszystkiem chodziło o duszę człowieka, która niezawodnie będzie prażyć się w smole i piec na ogniu; następnie, poza zbawieniem duszy stała jeszcze sprawa inna: kolonia i ajencya polska w Stambule otrzymywały od rządu tureckiego zapomogę, obawiano się przeto, że Abdul-Medzid cofnąć ją zechce. Nie cofnięto jednak — zmniejszono tylko. Na czele agencyi stanął Kościelski, późniejszy Sefer-Pasza, a Czaykowski, na żądanie rządu tureckiego, objął coś w rodzaju naczelnego kierownictwa i kontroli. Druga część funduszu zapomogowego użytą została na podtrzymanie agencyi w Bukareszcie i Belgradzie.

Czaykowski usunął się także od zarządu kolonii polskiej, założonej za jego pośrednictwem, a przy pomocy ks. Adama w Adampolu; kierownictwo powierzone zostało Michałowskiemu, a administracyę finansową objął Antoni Alléon, który też rozporządzał funduszem rządowym zapomogowym.

Jakkolwiek ks. Adam i pan Wład. Zamoyski niezado-

woleni byli ze zmiany religii Czaykowskiego, nie zerwali z nim wszakże stosunków, ani też Sadyk-effendi nie był na tyle lekkomyślnym, ażeby je zrywać. Wzajemnie byli sobie potrzebni. Sadyk utrzymywał dalszą korespondencyę z ks. Adamem, ze Zwierkowskim (Lenoir'em), z Gradowiczem, radcą konsulatu francuskiego w Bukareszcie, z Garaszaninem, z Abrahamem Petronowiczem, z Żukowskim, niegdyś dyrektorem kolonii polskiej w Adampolu, który miał siedzibę w Tulczy i zdawał sprawę z tego co się dzieje na Dobrudży, z Michałowskim i w. in.

Niewiadomo jak poszłyby rzeczy dalej, ale wogóle szły źle. Obwiniano o to powszechnie hr. Wład. Zamoyskiego, a niestety, nie jesteśmy w możności sprawdzić tego, gdyż osobiste udawanie się piszącego do syna Władysława Zamoyskiego nie przyniosło żadnych rezultatów. Współcześni obwiniali go o ducha intryganckiego, o chęć wysuwania się naprzód zawsze i wszędzie, o dwulicowość w stosunkach, o niedowierzanie bezzasadne, o chęć mieszania się do wszystkiego, o ambitne zachcianki wywyższenia się i przewodzenia. Otóż te wszystkie wady generała Zamoyskiego miały być powodem rozbicia się agencyi wschodniej. Mieszanie się to we wszystkie sprawy emigracyjne Wład. Zamoyskiego zapewne miało źródło w zezwoleniu ks. Adama, gdyż inaczej nie byłoby uzasadnionej podstawy. Tak czy inaczej, dość że Zamoyski nawiązał korespondencyę z Saih-effendi, dawnym dragomanem Sadyka, z braćmi Jordanami, z Kościelskim, nad którym pragnął rozciągnąć rodzaj kontroli. Podejrzywał on Kościelskiego o to, że nie stał na stanowisku ajenta ks. Adama, a Sadyka że działał arbitralnie i zasłaniał się lub posługiwał się imieniem ks. Czartoryskiego wówczas dopiero, gdy tego potrzebę uznawał.

Nie wiem ile w tem wszystkiem było prawdy, to tylko jest rzeczą pewną, że zachowanie się Zamoyskiego, ile razy on rękę do sprawy publicznej przykładał, wywoływało niezadowolenie, niezaufanie i intrygi. Czyją to było winą — trudno orzec dziś jeszcze, zwłaszcza że wszystko niemal, co wojny wschodniej dotyczy, pozostaje w tajemnicy. Wmieszanie się Zamoyskiego wywołało rozbicie się agencyi polskiej.

Tak rzeczy stały na początku drugiej połowy naszego wieku, gdy zaszedł wypadek znamienny, mogący mieć do-

niosłe znaczenie dla interesów polskich: w r. 1853 ogłoszoną została wojna przez Francyę, Anglię, Sardynię i Turcyę Rosyi. Wypadek ten wysunął na pierwszorzędne stanowisko Czaykowskiego.

IV.

Gdy nastąpiło wypowiedzenie wojny, ks. Adam napisał do Sadyka list bardzo serdeczny, ale niewyraźny i nie stanowczy, z ktorego można było tylko wyrozumieć, że chwila ta nadaje się do akcyi politycznej. Odezwał się także hr. Władysław Zamoyski, wyznając swoje winy i życząc sobie powrotu dawnych przyjaznych stosunków wobec zbliżających się wypadków, mogących mieć wielką doniosłość. Była to próba nawiązania zerwanych stosunków, szukanie drogi do zbliżenia się. Wszyscy czuli, że coś robić trzeba i można, ale panem pozycyi był tylko Sadyk, znający teren, stosunki i zdobywający coraz większe poważanie w sferach rządzących.

Porta powołała go do Rady ministrów dla zasięgnięcia opinii — jak prowadzić wojnę? Sadyk radził obronną nad Dunajem, do chwili przybycia sprzymierzonych, a zaczepną w Azyi Mniejszej, gdzie według jego zdania należało zachęcić do wojny Czerkiesów w imię religii. Proponował także powołać do wojska oficerów cudzoziemskich, znających języki słowiańskie; tacy oficerowie byli tylko śród Polaków. Polecono mu porozumieć się w tej sprawie z ks. Adamem Czartoryskim. Tak więc podwaliny do nowego stosunku były założone. Sadyk proponował generała Chrzanowskiego, pułkow. Karola Różyckiego i hr. Wład. Zamoyskiego z tem, ażeby wszyscy oni weszli do sztabu jeneralnego w stopniu generałów. Później dopiero należało przystąpić do angażowania innych.

Tymczasem zaszedł wypadek, który mógł daleko przekroczyć ulubioną przez ks. Adama akcyę dyplomatyczną. W czasie tych pertraktacyj przybyło do Konstantynopola w poselstwie od Rusinów, z Besarabii i Ukrainy dwóch posłów, proponując użycie do walki kozaków Dobruckich i wyznaczenie osoby zaufanej, któraby się mogła porozumieć z nimi i omyśleć plan wkroczenia na Ukrainę. Oryginał me-

moryału w tej sprawie wręczony został Reszyd-Paszy, a kopia przesłana ks. Adamowi. Czartoryski przeląkł się tego, polecił Sadykowi największą ostrożność, ażeby się nie rzucać w antrepryzę ryzykowną, nie gwarantowaną wcale przez mocarstwa, którąby przeto mogła przynieść wielkie szkody interesom polskim. Wład. Zamoyski, jako finansista, radził spojrzeć na to ze strony — funduszów.

Myśl, podniesiona przez wysłańców Ukrainy, zdaje się, przypadła do gustu Sadykowi i znalazła także obrońcę w gen. Chrzanowskim. Mimo to wszystko na wschód przyjechać nie chciał. „Napiszę do Czaykowskiego — mówił Zwierkowskiemu — że z Zamoyskim niema rady, bo jak go z wojskiem przyprowadzi nad Dniestr i pokaże bród, którym się przechodzi na polską ziemię, to on powie, że tędy nie chce, tylko drogą na Chiny, bo ta dłuższa, więcej przyniesie zysków do żelaznego funduszu; żałuję Czaykowskiego, niech z nim zerwie, a wtenczas każdy, którego zawezwie pojedzie, i będzie można coś dobrego zrobić, ale z Zamoyskim — nigdy, nigdy!“ Karol Różycki, opętany towianizmem, także przyjechać nie chciał. Wogóle w stronnictwie katolickiem wytworzyła się silna opozycya do działania w związku z Turcyą. Niektórzy, między nimi Zwierkowski, doradzali Sadykowi zerwać z ks. Adamem i działać na własną rękę. Czaykowski nie poszedł jednak za tą radą; zanadto był politykiem, aby się zgodził na oderwanie się od ks. Adama. Wolał pozostawić wszystko czasowi i nie bardzo się na tem zawiódł. Poglądy na udział Polaków w wojnie wschodniej powoli ulegały modyfikacyom, w miarę tego jak się rozjaśniał horyzont polityczny dla interesów polskich. Zmiana ta wyraziła się w ten sposób, że emigracya zachodnio-europejska, a osobliwie francuska poczęła się skłaniać do wzięcia udziału w wojnie, chociażby dlatego, ażeby wyjść z bezczynności. Nie czekając tedy na decyzye ks. Adama, Sadyk umieścił wielu Polaków w armii tureckiej — Jordanów, Zarzyckiego, Jagmina, Przyjałkowskiego i w. in. Wkrótce przybyli z Paryża gen. Wysocki, Bystrzonowski, pułk. Breański, Perkowski. Przyjęci do służby tureckiej, Polacy zmienili swoje zwykłe imiona na straszne lub groźne: Bystrzonowski nazwał się Arsłan-Pasza (lew), Breański Szahin-Pasza (sokół), Paczek Hderim-beg (piorun), Perkowski

Tabia-bej (forteca). Znany i dawny sposób ludzi próżnych używany do pokrywania nicości wewnętrznej.

W tym właśnie czasie Czaykowski powziął zamiar formowania kozaków otomańskich. W memoryale, złożonym na ręce Reszyda-Paszy, przypominał on, że Turcya uważała zawsze kozaków zaporoskich jako armię regularną, świadczą o tem najlepiej firmany sułtańskie i opieka udzielona rozbitkom zaporoskim; że Porta ma prawo powołać pod broń tych, którzy nie wrócili do Rosyi w r. 1828; że bardzo łatwo można będzie uformować pułk modelowy konny, złożony z Polaków i różnych Słowian, którzy się wpiszą do kozaków. Dodając do tego sześć sotni kozaków kubańskich i Nekrasy, można uformować korpus kawaleryi, zdolny do oddania dużych usług w czasie wojny i mogący wpływać na mieszkańców Wołynia, Ukrainy i Podola. Byłyby to kadry na wszelki wypadek gotowe.

Memoryał ten był przychylnie przyjęty przez Reszyd-Paszę, Sadyk otrzymał tytuł Mirimirana-Paszy i polecenie formowania pułku mieszanego ze Słowian, w którym komenda miała się odbywać w języku słowiańskim, zbliżonym do polskiego i rusińskiego. Trudno było wprawdzie wybrnąć z tej zagadki filologicznej, ale pono nowy Pasza najmniej się tem sam trudził. Na razie formacya takiego pułku odpowiadała jego marzeniom politycznym o podniesieniu idei słowiańskiej i złączeniu jej z interesami Polski. Sadyk wystąpił na pierwszy plan jako człowiek czynu i stał się niejako centrum koło którego mogli grupować się ci, którzy walczyć chcieli. Rozwinął on akcyę gorączkową, energiczną a tą dzielnością swoją imponował innym i pociągał ich za sobą. Zachęcał młodzież do zaciągania się do nowo-formującego się pułku i wyrobił u Porty polecenie do ambasadora tureckiego w Paryżu zwracania kosztów tym, którzyby okazali chęć udania się na Wschód. Do ks. Adama osobiście zgłaszał się i za pośrednictwem Zwierkowskiego, prosząc o rychłe wysyłanie żołnierzy do nowego pułku. Czartoryski zmienił trochę swój pogląd na ten „sojusz“ z Turcyą i czynnie przykładał do niego rękę. Im więcej zastanawiał się nad tą niespodziewaną organizacyą rozproszonych sił nad Dunajem, tem więcej przypisywał jej znaczenia i doniosłości.

Najczynniejszym wszakże niewątpliwie był sam Sadyk-

Pasza. Pisząc w tej sprawie do pierwszego dragomana ambasady francuskiej, że byłoby dobrze, ażeby cesarz Napoleon III dał broń nowym żołnierzom, przedstawił mu widoki na przyszłość. List widocznie został Napoleonowi zakomunikowany, gdyż wkrótce rząd francuski nadesłał broń na tysiąc kawalerzystów, jako dar Francyi dla kozaków. Sotnie poczęły się szybko tworzyć pod rozkazami oficerów i podoficerów Polaków. Skład kadrów był bardzo różnorodny: wszystkie narodowości tureckich Słowian były tam reprezentowane — najmniej może było Polaków. Nie umiano ocenić doniosłości i celu tej formacyi. Pułk otrzymał dawny sztandar Zaporożców, przechowywany u Patryarchy, a gubernator Adryonopola, Mechmet-Kibrizli pasza odebrał od nich przysięgę wierności na Ewangelii w obecności księży katolickiego i greckiego-wschodniego. Poczem pułk wystąpił do Bułgaryi, udając się pod rozkazy naczelnego wodza Omer paszy.

Cała ta organizacya dobrze pomyślana i wykonana nie miała wodza. Czaykowskiemu, poniekąd słusznie, zarzucano brak wykształcenia wojskowego i brak zdolności. Był to człowiek, posiadający niezawodnie dużo brawury wojskowej, rozumny, zręczny, dobry organizator, ale nie szczęśliwy człowiek. Nieszczęściem jego była wygórowana miłość własna: wszędzie i zawsze pragnął on być na przedzie, nawet wówczas, gdy pragnienie swoje usuwał na drugi plan lub zasłaniał się bezinteresownością i pokorą. Wyższego koło siebie nie znosił nikogo — chyba niższych lub takich, którzy z nim razem szli jedną drogą. Chęć usunięcia kogoś lub zdepopularyzowania przerzucała go do intryg. Na drodze swojej spotkał człowieka o wiele mniej zdolnego od siebie, ale bodaj czy nie więcej jeszcze ambitnego: był to Władysław Zamoyski. Rozpoczęła się tedy między nimi walka, która nawet po śmierci nie zakończyła się. Wład. Zamoyski górował nad nim stosunkami, imieniem historycznem, koligacyami. I on także wszędzie chciał być na przedzie, wszędzie stanowisko pierwszorzędne zdobywał śmiało i nieraz zasłaniał sobą bądź co bądź wybitną postać Sadyka-Paszy. Dwa bogi — nie mogli iść i pracować w jednym kierunku; schodzili się, ażeby się rozchodzić.

Przyczyną wielu niepowodzeń Sadyka-Paszy był także jego charakter nierówny, niespokojny, kapryśny; stąd albo

się zbyt z ludźmi popularyzował albo ich zbyt wyniośle traktował. Miewał też mało przyjaciół, a dużo bardzo wrogów. Wielka grzeczność zarówno jak i szorstkość nie jednały mu sympatyi. Rozgoryczał więc wszystkich do siebie i sam się rozgoryczał. Stało się to właśnie niemal od początku owej niby kozacko-polskiej, a w gruncie rzeczy niewiadomo jakiej, formacyi. Ci, których dziś wynosił na stanowiska generałów i pułkowników, jutro stawali się zdecydowanymi jego nieprzyjaciółmi.

Mimo to wszystko do dzieła zabrał się z zapałem i oddaniem się wielkiem; patrzył dalej i lepiej niż jego otoczenie; plany miał stanowcze i jasne, nieraz, powiedziałbym, zuchwałe, ale nie posiadał wykonawców, a sam nie mógł wiele zrobić, bo był nie wodzem samodzielnym, lecz pionkiem na szachownicy wojny, posuwanym obcą ręką. Może czuł, że jego nazwisko nieposiada dość popularności i uroku wojskowego, i dla tego w chwilach fałszywej pokory, odzywał się do Hotelu Lambert z propozycyą, ażeby ks. Witolda mianować pułkownikiem kozaków, a nawet zgadzał się oddać dowództwo Władysł. Zamoyskiemu, jak tylko wojsko stanie nad Dniestrem.

Opuszczając Konstantynopol, Sadyk-Pasza zostawił Śniadeckiej, którą tytułował „moją żoną“, zupełne pełnomocnictwo polityczne, na co Reszyd-Pasza się zgodził. I w wyborze nie pomylił się wcale. Plany, zamiary, nawet marzenia polityczne Sadyka-Paszy Śniadecka przyjęła za swoje i popierała je bardzo gorliwie. Z nią tedy przedewszystkiem zetknął się hr. Wład. Zamoyski, gdy do Konstantynopola przyjechał. Odezwała się bardzo nieprzychylnie o nim. „Miałam kilka rozmów bardzo długich z p. Zamoyskim, ale w nim tyle znalazłam nieszczerości i fałszywości, że niesądzę, abyś kiedykolwiek mógł na niego rachować; wyrozumiałam od p. Kalinki, że przyjechali tu raczej się targować jak wojować, że radzą z naciskiem Polakom w kraju, ażeby się nie brali do broni“. Takie było pierwsze wrażenie, może i niezupełnie słuszne. Dłuższy pobyt Zamoyskiego w Konstantynopolu usposobił ją nieco inaczej i wyrozumialej. Istotnie, o złe chęci trudno było Zamoyskiego pomówić; on może i szczerze czekał zbliżenia się z Sadykiem, szukał miejsca dla siebie, a pycha i próżność odpychały ich wzajemnie. Chcieli pracować w je-

dnym celu, w jednym interesie, na jednej drodze nawet — i nie mogli. Zamoyski szukał tedy drogi własnej — dla siebie wyłącznie i z czasem ją znalazł.

Gdy tedy Śniadecka wiodła z nim długie rozmowy, Sadyk-Pasza, po radzie wojennej w Konstantynopolu, otrzymał polecenie zająć Deli-Orman z kozakami regularnymi, nieregularnymi i oddziałem, dodanym do nich; zaopatrywać w żywność Silistrye i bronić kalafatu. Różne te operacye wojskowe wchodziły w zakres talentu wojskowego Sadyka-Paszy: były wojną podjazdową, partyzancką — wywiązywał się też z niej i z tego zadania ku wielkiemu zadowoleniu zarówno Omera-Paszy jak i Anglików. Przekonywano się, że taka formacya wojskowa istotnie zdolną jest oddać wielkie usługi nie tylko na dziś, lecz i na przyszłość. Zresztą Sadyk-Pasza dowody swego sprytu wojskowego dawał niejednokrotnie. Otrzymał on polecenie obsadzenia wyspy Ramadan, z której udało się staremu marszałkowi Kiel-Hasanowi Paszy wypłoszyć oddział rosyjski. Sadyk zajął wyspę, a wysławszy szpiegów na drugą stronę Dunaju, dowiedział się, że wojska rosyjskie cofać się poczęły ku Besarabii. Domyślił się, że stać się to mogło na skutek konwencyi tajemnej z Austryą, która umożebniła wycofanie wojska do Krymu. Doniósł o tem Serdar-ekremowi, nadmieniając, że dobrze byłoby, korzystając z tego, uprzedzić Austryaków i zająć Bukareszt. Jakkolwiek opinia ta, uznaną została w Konstantynopolu za słuszną i Omer-Pasza otrzymał rozkaz przekroczenia Dunaju, do zajęcia Bukaresztu nie przyszło jednak, gdyż mocarstwa zjednoczone obawiały się obrazić Austryę, i na tem się skończyło na razie.

Sadyk zajął posterunek obserwacyjny w Dżurdżewie — i tutaj właśnie przybyli do obozu jego hr. Wł. Zamoyski i pułkownik Kirkor. Obaj rozumieli dobrze ważność i doniosłość chwili i znaczenia organizacyi wojskowej — był więc grunt do pojednania szczerego. Zamoyski z tym zamiarem przyjechał i okazywał chęć współdziałania z Sadykiem. Miał przytem list od Śniadeckiej zupełnie inny od tego, który pisała do niego niedawno. Może dostrzegła zmiany w Zamoyskim skutkiem długich z nim rozmów. Dość, że donosiła mu o postanowieniu jenerała służenia wspólnie, gdyż doszedł on jakoby do przekonania, że służąc i pracując każdy na wła-

sną rękę, będą tylko szkodzić jeden drugiemu. Pogląd był słuszny, ale, jak się okazało później, nie nowy. Śniadecka proponowała przeto Sadykowi wystarać się o formowanie drugiego pułku kozaków, a organizacyę jego polecić Zamoyskiemu. Czaykowski został, zdaje się, rozbrojony. Przedstawił go Omerowi-Paszy i prosił o pozwolenie formowania drugiego pułku kozaków. Naczelny wódz zgodził się na to, ale — jeżeli wierzyć słowom Sadyka — pod warunkiem, ażeby nie kto inny, tylko on właśnie dowództwo naczelne objął. Tymczasem w obozie I-go pułku powstały intrygi, skutkiem czego Przewłocki usunął się, a Sadyk zaproponował na pułkownika Kirkora; Omer-Pasza propozycyę tę przyjął. Zamoyski zaś oczekiwał na decyzyę w Ruszczuku.

Tymczasem agitowała się sprawa zajęcia Bukaresztu. Halim-Pasza otrzymał wprawdzie polecenie, ale usprawiedliwiał się brakiem gotowości wojskowej, wyprawił więc przodem Sadyka-Paszę z kozakami, a sam zatrzymał się w pewnem oddaleniu od Bukaresztu w zamiarze poparcia Sadyka, gdyby tego zachodziła potrzeba. Wszystkie te ostrożności były zbyteczne, gdyż miasto nie było prawie bronione, i, jak się zdaje, bronić się nie miało zamiaru. Było tam tylko dwa pułki dragonów pod rozkazami jenerała Denenberga i trochę Rumuńskiego żołnierza, na którego jenerał liczył, ażeby bez walki nie oddać miasta. Zbliżywszy się do Bukaresztu, Sadyk wysłał kozaków kubańskich na przeszpiegi i patrole kozaków regularnych. Pokazało się, że w mieście znajduje się tylko oddział armii rumuńskiej, który razem z kajmakanem, zastępującym hospodara, prefektem policyi i gromadką bojarów oświadczył mu gotowość poddania się, jako jenerałowi ich opiekuna. Sadyk-Pasza zajął miasto, wyznaczył komendanta i zawiadomił ks. Kantakuzena, że przywileje, nadane mu przez sułtana, ściśle zachowa. Bojarowie oświadczyli chęć, łącznie z ks. Kantakuzenem, dostarczyć Sadykowi żywności jak najtaniej, pieniędzy znajdujących się w kasach klasztornych, a armię rumuńską oddać do jego dyspozycyi. Sadyk doniósł o tem Omerowi-Paszy, przedkładając mu doniosłość tej ostatniej propozycyi, która umożebniała zrobienie dywersyi na tyłach armii rosyjskiej. Naczelny wódz podziękował wprawdzie Sadykowi, ale odpowiedzi nie dał żadnej. Tak samo posłowie rumuńscy nieotrzymali odpowiedzi stanowczej. Serdar przy-

jął ich przyjaźnie, lecz załatwienie sprawy odłożył do swego przybycia do Bukaresztu.

W kilka dni później nadeszły wojska austryackie pod dowództwem jenerała Coroniniego i zajęły Bukareszt. Sadyk Pasza ze swymi kozakami znajdował się wówczas w Braile. Skutkiem układów między Austryą i Turcyą, Bukareszt miał być zajęty łącznie przez obie armie. Lewy brzeg Dunaju, od Dżurdżewa do Brailu, zajęła armia turecka, linia Seretu aż do granicy mołdawskiej miała być także zajętą przez Turków, z wyjątkiem Nadeni, które miało być siedliskiem władz oddziałów obu armii; most na Serecie miał być zbudowany wspólnemi siłami; Gałacz, Jassy, Fokszany i cała linia Prutu pozostały w ręku Austryaków. W ten sposób Austryacy byli prawdziwymi panami sytuacyi, stróżami granicy i panami ważnych punktów, tak że mogli w każdym czasie odsunąć Turków do Dunaju. Kto taki niefortunny plan opracował? Niewiadomo. Współcześni obwiniali o to hr. Zamoyskiego i Rustem-beja (Wolskiego). Zdaje się wszakże, że na te obwinienia trzeba patrzyć bardzo pobłażliwie i z niedowierzaniem je przyjmować, zważywszy na zobopólną walkę, jaką emigranci prowadzili na wschodzie przedewszystkiem — ze sobą.

Kiedy marszałek Dudon Achmed-pasza przybył do Brailu, z kilkoma tysiącami ludzi, Sadyk-Pasza otrzymał rozkaz zajęcia linii Seretu na czele ośmiu sotni kozaków, sześciu eskadronów kawaleryi, trzech eskadronów kawaleryi pierwszego pułku, ośmiu batalionów redyfów, czterech bateryi artyleryi z dwoma jenerałami brygady, będącymi pod jego rozkazami. Czy skutkiem nieostrożności głównodowodzącego Omera-Paszy, czy też zaufania do Sadyka-Paszy, dość że otrzymał on polecenie działania prawie niezależnego, a szef jego miał się z nim porozumiewać w sprawach i wypadkach wątpliwych. Serder upoważnił go zbliżyć się za pomocą różnych manewrów do Prutu. Działo się to w myśl Sadyka-Paszy.

Zamoyski posiadał już w Ruszczuku około 300 Polaków, zaangażowanych do 2-go pułku. Sadyk życzył przyłączyć ich do swego wojska, gdyż posiadał zaledwie kilkuset Polaków. Mając wszakże zamiar przekroczenia Prutu i wejścia na terytoryum Besarabii, pragnął posiadać więcej ludzi, na których pewność mógłby bardziej liczyć niż na swoją

zbieraninę słowiańską. Zdawało mu się, że z tą garstką ludzi, mając za plecami armię turecką, i sympatye Omera-Paszy i Napoleona III, zdoła przenieść wojnę w głąb Ukrainy. Zwierzył się z planem swoim Zamoyskiemu; plan bardzo się podobał, Zamoyski nie szczędził rad, obiecał przysłać wolontaryuszów — i nie przysłał. Tymczasem z Besarabii i Ukrainy nadchodziły, według informacyi Sadyka-Paszy, wiadomości bardzo przychylne. Mieszkańcy mieli już tam jakoby oczekiwać tylko przybycia Czaykowskiego. Sadyk zdał o tem raport Omerowi-Paszy i do Konstantynopola, dając informacye o ruchach wojsk rosyjskich w kierunku Krymu, o resztkach pozostałych jeszcze w Besarabii. Oczekiwanie zakończyło się tem, że otrzymał rozkaz — nie przekraczania Prutu pod żadnym pozorem. Sadyk podejrzywał, że stało się to przy współudziale hr. Zamoyskiego, który miał wysłać Kalinkę do marszałka Achmed Dudona Paszy z ostrzeżeniem czuwania nad Sadykiem, gdyż przekroczenie Prutu mogłoby spaść na niego odpowiedzialnością. W planach wojny na terenie Dunaju zaszły zmiany: Serdar-Ekrem otrzymał polecenie udania się z połową swego wojska do Krymu, reszta cofnęła się od Prutu i Seretu, w Bukareszcie pozostała tylko garstka wojska tureckiego. W ten sposób Mołdawia i Wołoszczyzna zostały poniekąd okupowane przez Austryaków. Zamoyski miał się usprawiedliwiać z nieprzysłania owych 300 zaciężnych dlatego, że plan wkroczenia na Ukrainę i Besarabię odłożono na wiosnę.

Nie będziemy zastanawiać się z punktu wojskowego nad jego wykonalnością i doniosłością, dość że przeszkodą do wykonania były nie tyle intrygi Zamoyskiego, ile niechęć zarówno skojarzonych mocarstw jak i Austryi; mogłoby to wywołać łatwe do zrozumienia komplikacye, wcale niepożądane i niepostawione na porządku dziennym.

Sadyk-Pasza został wysłany na Dobrudżę.

Formacya drugiego pułku postępowała dość szybko. W Szmuli było już zgromadzonych 500 ludzi i 300 koni. Żołnierze wszyscy prawie byli dezerterami z armii rosyjskiej, oficerowie byli wyćwiczeni i z wojną obyci bądź w r. 1831, bądź w kampanii Węgierskiej i Włoskiej; za dużo tam tylko polemizowano, krytykowano wszystkich i próżnowano. Obaj ci ludzie — Zamoyski i Sadyk — niepozbawieni zdolności

i zasług, różnili się nietylko charakterami, ale zasadniczymi poglądami na udział Polaków w wojnie wschodniej pod sztandarami Turcyi. Niewątpliwie, że Czaykowski miał na myśli interesy polskie, ale zbyt blizko widział je skojarzonymi z Turcyą i rola, jaką odegrywał, była rolą generała tureckiego. Zamoyski stał na gruncie katolickim. „Jaki obowiązek my mamy względem Turków — mówił Czaykowskiemu — nie są oni naszymi braćmi ani z rasy, ani z religii; byliśmy zawsze nieprzyjaciołmi, uczyliśmy się bić ich i nienawidzieć, a teraz mamy się bić za nich?“ Były to słowa i poglądy raczej księdza niż polityka. Chodziło mu o to tylko, aby od Turków uzyskać pomoc materyalną w formacyi pułków, a o ile można niesłużyć interesom tureckim. Obydwa mieli cel jednaki, lecz drogi różne wiodły do tego celu. Obaj ambitni, obaj egoiści, niby idąc razem, ciągle rozchodzili się w dwie przeciwne strony. Egoizm Czaykowskiego zaprowadził go do odstępstwa i sturczenia się, chociaż ciągle, z nałogu można powiedzieć, mówił i pisał o polskości; egoizm Zamoyskiego zaprowadził go do tytułu jenerała angielskiego i oddał bezwiednie na żołd Anglików.

Gdy ekspedycya za Prut nie udała się, Sadyk-Pasza wyjechał do Konstantynopola, gdzie zastał Śniadecką bardzo czynną, pełną nadziei i oddaną jego interesom. W miarę jak on tracił chęć do pracy, zrażony intrygami i brakiem sympatyi śród Polaków, zdwajała się energia Śniadeckiej i chęć pokonania wszelkich trudności. W różowych nadziejach na przyszłość utrzymywała go ta okoliczność, że w Konstantynopolu został przyjęty nader życzliwie przez Reszyda paszę i przez Seraskiera. Było to już po niepowodzeniach, jakich armia turecka doznała pod Karsem. Część wojska, otoczona przez siły rosyjskie, zamknęła się w fortecy bez nadziei wydobycia się stamtąd. Paszowie i bejowie polscy, o strasznych nazwiskach lwów i orłów, zdołali szczęśliwie przedostać się do Paryża. Sadyk-Pasza, zapytany co robić, ażeby Kars od zdobycia obronić, proponował dywersyę na Tyflis w ten sposób, ażeby część armii, wylądowawszy w Redut-kale, weszła w głąb kraju i powołała do broni Czerkiesów. Wojska rosyjskie musiałyby wówczas bronić Tyflisu, a więc cofnąć się od Karsu.

Plan został przyjęty, a Sadyka na czele kawaleryi na-

znaczono do awangardy. Korzystając z tej propozycyi, prosił o pozwolenie uformowania trzeciego pułku kozaków, których pragnął przebrać po czerkiesku. Plan ten nie został wszakże wykonany niewiadomo z jakich powodów — zdaje się wszakże dlatego, że po zdobyciu Sewastopola, Anglicy mieli zamiar przenieść wojnę z Kerczu do Anapy i wnętrza Kaukazu. Na ekspedycyę do Georgii były przeznaczone wojska tureckie, znajdujące się pod Sewastopolem i oddział armii, konsystującej w Bulgaryi. Sadyk otrzymał polecenie udania się do Burgas, ażeby tam zgromadzić pułki kozackie i resztki, kawaleryi przybyłej z Krymu. Marszałek Abdul Kerim pasza, przeznaczony na tę wyprawę do Georgii, udał się do Warny dla zgromadzenia piechoty i magazynów, jakoteż do objęcia dowództwa. Między Sadyk-Paszą a Zamoyskim antagonizm zaznaczał się coraz wyraźniej, chociaż obydwa trzymali się polityki działania zgodnego i świadczyli sobie grzeczności. Do Konstantynopola przybywało mnóstwo Polaków w chęci zaciągnięcia się do kozaków, jedni dążyli do Zamoyskiego i takich była większość, inni, w znacznie mniejszej ilości, stali po stronie Sadyka-Paszy. Przyczyną tych swarów gorszących stała się okoliczność, utrzymywana do pewnego czasu w tajemnicy, ale znana wszystkim: było to przejście hr. Wł. Zamoyskiego z mającym się zorganizować ostatecznie trzecim pułkiem kozaków na żołd angielski. Werbunek przez niego oficerów i żołnierzy, a także antagonizm polityczny między dwoma wodzami, z których każdy chciał być pierwszym, szkodliwie oddziaływały także i na podkomendnych. Zamoyski zdołał wytargować od Anglików dla siebie tytuł generała z wysoką pensyą, a dla oficerów swoich wyższy żołd. Na tę wędkę niejeden łatwowiernie dał się złapać. Anglikom nie szło ani o Zamoyskiego, ani o interesy polskie, lecz o zwiększanie wojska. Zamoyski dopomógł do utworzenia zaciągów najemnych, dla których interesy polskie były tylko płaszczykiem, pokrywającym sprawy Anglii wyłącznie.

W tej chwili właśnie zjechał był do obozu pod Burgas A. Mickiewicz. Miał on misyę naukową na Wschodzie urzędową — poznania południowych Słowian, — a niezależnie od tego z polecenia ks. Adama miał rozpatrzyć się w stosunkach polskich. Przyjechał dobrze usposobiony dla

akcyi podjętej już przez Sadyka-Paszę, osobiście bardzo ją pochwalał i gorący udział sam w niej przyjął. Brał on położenie rzeczy na wschodzie na seryo, wielką nadzieję w przyszłości przywiązywał do tego, a w organizacyi wojskowej Sadyka-Paszy upatrywał zawiązek nader w rezultaty płodny. Bolał więc bardzo nad niesfornością Polaków, rozsianych w Turcyi, nad większą ochotą u nich do gardłowania niż do działania, a Zamoyskiemu miał otwarcie za złe to, że nie do jedności, lecz do rozdwojenia sił dążył, że w żołnierzach osłabiał ducha narodowego a nawet wypaczał go, zaszczepiając w ochotnikach gromadzonych dla 3-go pułku ideę materyalnego zysku i polepszenie swego osobistego stanu. Sadyka-Paszę wysoko cenił, organizacyę jego chwalił bardzo, jakoteż ducha ożywiającego żołnierzy i sam mówił, że w obozie czuł się jak w Polsce. Rozpatrzywszy się w położeniu rzeczy miał odwagę ganić postępowanie Władysława Czartoryskiego niewyraźne i chwiejne, a Zamoyskiego szkodliwe i w tym duchu do ks. Adama pisał. Przy pomocy młodego izraelity Levy'ego, jakoteż towarzysza swojej podróży Henr. Służalskiego rozpoczął pertratakcye z Sadykiem-Paszą o utworzenie legii żydowskiej, gorąco zabrał się do dzieła i w tym trakcie nagle prawie na cholerę umarł. Potrącam tylko o ten przedmiot, gdyż mam zamiar zastanowić się nad nim szerzej w innem miejscu.

A. Mickiewiczowi nie udało się przeszkodzić rozdwojeniu i pogodzić Sadyka-Paszę z Zamoyskim; były to żywioły, jak ogień i woda nie do połączenia. Jeszcze w czasie pobytu Mickiewicza pod Burgas, kiedy właśnie oczekiwano rozkazu rozpoczęcia ekspedycyi do Georgii, nadszedł do Sadyka list od Zamoyskiego zwiastujący, że nawiązał stosunki z rządem angielskim, a jako dowód przychylności rządu przesyła dla kozaków otomańskich cztery harmatki w darze od niego. Mickiewicz obecny czytaniu listu miał wykrzyknąć: „zdrada! Znam Zamoyskiego! Przysłał harmatki, żeby ostrzelać swoją zdradę jak ostrzelał wprowadzenie do Galicyi Romarino i najpiękniejszego korpusu wojska polskiego“. Wkrótce nadeszła wiadomość od Śniadeckiej o formacyi dywizyi na żołdzie angielskim i przejście kozaków do służby angielskiej. Pułkownik Klemens Przewłocki, porozumiawszy się z Zamoyskim, oświadczył w imieniu ochotników, zgromadzonych dla 3-go

pułku kozaków, że życzą sobie przyłączenia do armii angielskiej, Zamoyski deklaracyę tę wręczył lordowi Redcliffe. Tym samym kuryerem nadeszła ekspedycya do marszałka Abdul-Kerima paszy i Sadyka zgadzająca się na przejście kozaków na żołd angielski, jeżeli sobie życzą. Pierwszy pułk zaprotestował w obecności i Mickiewicza, oświadczając, że służą nie dla żołdu, drugi wahał się — lecz wkrótce poszedł na służbę — do funtów sterlingów.

Zamoyski od tej chwili stanął na czele osobnego korpusu armii, jako jenerał i większy miał tytuł niż armię. Cały ten korpus, wraz z licznym sztabem jeneralnym, liczył zaledwie 2.000 żołnierzy, w liczbie których było przeszło tysiąc z drugiego pułku kozaków. Tworzyło to, razem wzięte: dwa pułki kawaleryi, cztery baterye artyleryi i kompanię strzelców pieszych. Anglicy dostarczyli uniformów, broni, koni i pieniędzy.

W tym właśnie czasie w Konstantynopolu lord Redcliffe i poseł austryacki zaprotestowali przeciwko ekspedycyi Sadyka-Paszy do Georgii, obawiając się, że mógłby przejść Seret, zająć linię Prutu, a porozumiawszy się z Szamilem, rozpocząć nową wojnę, co bynajmniej pożądanem nie było. Sadyka-Paszę zastąpił generał Stein (Ferhad-pasza). Wyprawa ta przechodzi granice przedmiotu interesującego nas i dla tego mówić o niej nie będę.

W trakcie tych wszystkich wypadków przyszła wiadomość o zawarciu pokoju. Sotnie kubańskie i dobruckie wróciły do domu; pozostały tylko sotnie kozaków otomańskich regularnych. Niepowodzenia dyplomatyczne Sadyka - Paszy, nieporozumienia z tymi, którzy byli jego współpracownikami, bezustanne wzajemne intrygi i oczerniania zraziły go do dalszej pracy. Ustąpił jednak naleganiom Reszyda-Paszy i Śniadeckiej i pozostał nadal na czele utworzonego przez siebie oddziału. Porta wysłała Sadyka z kozakami na granicę Tessalii w celu strzeżenia granic od rozbójników i upoważniła go do sformowania trzech eskadronów dragonów. Czaykowski miał zamiar wcielić do tej organizacyi żołnierzy z rozwiązanej dywizyi Zamoyskiego, ale udało mu się zaledwie 250 zjednać, resztę trzeba było ściągnąć z Dobrudży. Część korpusu Zamoyskiego rozprószyła się, większa część udała się do dóbr ziemskich Reszyda-Paszy dla skolonizowania ich i tam na febry

i inne choroby wymarła. Tak zmarnowało się wiele ludzi dzielnych bez pożytku i bez celu.

Sadyk-Pasza, pozostawszy nadal w służbie tureckiej, miał już przed sobą drogę wojskową otwartą. Wkrótce po wojnie wysłany został na Dobrudżę dla zrobienia mapy wysp Leti i św. Jerzego, które dostały się Turcyi na mocy traktatu pokojowego. Zbliżenie się ponowne z żywiołem kozackim rozbudziło energię Czaykowskiego, czynną zawsze w jednym kierunku: aby na widownię polityczną i dziejową wyprowadzić kozaków. Było to widmo, prześladujące go całe życie, gdyż fantazya brała u niego górę nad rzeczywistością. Nie mógł zrozumieć, że kozacy, nie posiadający ducha państwowości, jak wszystkie niewykształcone cywilizacyjnie organizmy narodowe, zdolni byli być tylko narzędziem w cudzem ręku. Wysłał on stamtąd memoryał, przedstawiający korzyść z zasiedlania ludnością z Besarabii wysp Leti, Sulimy i brzegów Dunawca, używając do tego resztki rozprószonych kozaków otomańskich. Miał na myśli pożytek, jaki z tego być może na wypadek przyszłej wojny. Propozycye te rząd turecki przyjął i stosowne irade wydał. Na przedstawienia jednak ambasadorów Francyi, Austryi i Anglii, Sadyk został odwołany do Konstantynopola, a irade miało być cofnięte. Sułtan odwlekał jednak cofnięcie do czasu nieokreślonego, pomimo to, iż nie brakło doniesień, że Sadyk pragnie przy pomocy kozaków wywołać nową wojnę. Pomimo tego rodzaju plotek politycznych, Sadyk-Pasza nietylko utrzymał się na swojem stanowisku, ale został mianowany jeszcze Beylerbeyem Rumelii.

Nie będę się tutaj rozpisywał nad rozmaitemi fakcyami, działającemi mniej lub więcej zręcznie na terenie południowej Słowiańszczyzny, gdyż działalność ta należy raczej do wojny wschodniej i udziału w niej Polaków niż do życiorysu Czaykowskiego; jest bardziej cząstką historyi Turcyi drugiego pięciolecia XIX w. niż historyą życia jednego człowieka. Pomimo wszelkich usiłowań i intryg Sadyk-Pasza na widowni dziejowej utrzymał się dzięki temu, że niewątpliwie działalności jego przyświecała wielka idea, rozumiana nie zawsze trafnie, ale szczerze. Pragnął on odegrać na tej widowni wielką rolę, do tego dążył, ale gwiazda niepowodzenia nietylko nad jego głową świeciła. Gdyby nie zgorzkniał ostatecznie, gdyby zdołał utrzymać na wodzy ambicye polityczne, a przynajmniej

zrównoważyć je warunkami rzeczywistości, gdyby się nie unosił do zapomnienia o wszystkiem, byłby niezawodnie lepszą pamięć zostawił o sobie. Dzięki wadom swego charakteru, należał on do rzędu ludzi nieszczęśliwych, którzy mniej byli złymi niż pamięć pozostała o nich. Przywiązał się on do swego dzieła, do kozaków ottomańskich sprowadził synów, starał się nawet kształcić oficerów i żołnierzy, założywszy coś na podobieństwo regularnej szkoły wojskowej, któraby dostarczyła dobrego materyału w razie potrzeby, ale wszystkie te usiłowania zwiędły jak kwiaty bez słońca.

Nastąpił rok 1863, który w wysokim stopniu zdepopularyzował imię Czaykowskiego śród Polaków i wprowadził rozdźwięk między nim a jego podkomendnymi. W owym czasie Sadyk-Pasza począł przychylać się coraz bardziej do tych, z którymi w zasadniczych poglądach rozszedł się, przystępując do formacyi kozaków otomańskich. Mam tu na myśli hotel Lambert i jego przedstawicieli. Niewiadomo dokładnie jakie stanowisko on zajął wobec polityki Pana Markiza Wielopolskiego, to jednak wiadomo dobrze, że hotel Lambert stał zawsze na tym gruncie, że tylko drogą dyplomatycznych układów i działań da się coś zrobić dla interesów polskich. Za takiego opatrznościowego polityka, który miał pobić dyplomacyę rosyjską, uważał poniekąd Sadyk-Pasza pana Markiza i dlatego na jego postulaty polityczne godził się. Na rok 1863 patrzył jak na awanturę, wywołaną przez „gorące głowy", a p. Zamoyskiemu z Warszawy miał za złe, że śmiał z taką polityką, jak p. Markiza nie godzić się. W tem tkwił już zaród tych myśli, jakie rozwinęły się nieco później i skłoniły Sadyka-Paszę do spróbowania na starość polityki p. Markiza. Ale o tem — potem. Rozdźwięk zaznaczył się przedewszystkiem między Sadykiem a kozakami otomańskimi. Wnieśli oni petycyę do ówczesnego Seraskiera, Fuad-Paszy, w której wyrażając całą wdzięczność dla Turcyi, która ich przygarnęła, prosili o pozwolenie wycofania się z wojska. Turcya patrzyła na to przez palce. Pozwolono im brać dymisyę, a nawet obiecano dać zapomogę tym, którzyby życzyli sobie do Dunaju się zbliżyć. Życzenia jednak kozaków otomańskich szły dalej, głównie z tego powodu, że zarówno Sadyk jak i pułkownik Kirkor, szczególnie ten ostatni, bardzo niewyrozumiale na te wrzenia patrzyli. Powstała nawet myśl opu-

szczenia Sadyka i udania się gremialnie do Dunaju. Czaykowski miał trudne zadanie przed sobą; opuścić służby tureckiej nie mógł i nie chciał zapewne, ażeby całą przeszłość swoją na niepewne losy nie wystawiać. Urząd brał górę nad sumieniem. Nie trudno było przewidzieć tak samo jak inni przewidywali, że bez obcej interwencyi walka między potężną Rosyą, a nieuzbrojonym i niezorganizowanym narodem, zakończy się klęską Polaków; Sadyk-Pasza obawiał się tej klęski bardziej dla siebie niż dla narodu, bo był przedewszystkiem człowiekiem samolubnym i ambitnym. Dlatego też niezawodnie od współdziałania odsunął się. Nie mógł stać na czele, wolał przeto zupełnie usunąć się. W sprawę gorących walk w łonie kozaków otomańskich wtrącił się rząd turecki i ochłodził je w ten sposób, że część kozaków skierował do Monasteru, a drugą część wraz z dragonami i Sadykiem-Paszą powołał do Konstantynopola. Tu zetknął się Czaykowski z Tadeuszem Orzechowskim (baronem Oksza) który był nieuznanym reprezentantem tajemnego rządu warszawskiego wobec Porty. Rzecz jest godna uwagi, że ile razy Sadyk-Pasza stykał się z kimkolwiekbądź ze strony Polaków, posiadającym bądź moralne bądź inne wybitne stanowisko, zawsze musiało się skończyć nieporozumieniem i zerwaniem stosunków. Przyczynę tego upatruję w niepohamowanej miłości własnej Sadyka-Paszy, nikogo równego, a tembardziej wyższego nie znoszącej koło siebie. Tak samo stało się i z Okszą. Jakim był Oksza jako człowiek, jest to sprawa, która mało w tej chwili mię interesuje, to jednak jest rzeczą pewną, że zrazu przyjął go Sadyk przychylnie, a nawet dygnitarzom tureckim przedstawił, gdy jednak spostrzegł, że Orzechowski jest w działaniu swojem bezwzględny, że stosunki jego w oddziale Sadyka mogą być szkodliwe ze względu na dezorganizacyę kozaków otomańskich, prosił go w imię „honoru wojskowego“, gościnności tureckiej, stanowiska Polaków w służbie tureckiej i zapewne innych względów, ażeby zaprzestał wszelkiej agitacyi. Trudno jednak było powstrzymywać ten rozpęd i te uczucia, jakie ogarniały Polaków, będących w służbie tureckiej. Czaykowski nie mógł tego rozumieć, a raczej nie chciał, a pragnąc utrzymać względem Turcyi stanowisko lojalne, tracił miarę, poczucie sprawiedliwości i stawał w kolizyi z temi zasadami i hasłami, które mu służyły impulsem do zawiązania

pułków kozackich. Jeżeli o Czaykowskim można powiedzieć, że on bawił się w kozaków, to Turcya zdawała sobie doskonale sprawę z tego stanu rzeczy jaki istniał: rządowi tureckiemu bynajmniej nie chodziło o Polaków, lecz o ten zawiązek wojska *chrześcijańskiego*, jaki się utworzył przy pomocy Polaków. Tureccy mężowie stanu łudzili się, że z tych pułków kozaków otomańskich wytworzy się z czasem armia słowiańska przeciwko Rosyi. Był to wielki błąd, a błąd ten, czyli raczej złudzenie, wywołał i utrzymywał Sadyk-Pasza. Obecnie to złudzenie znikało, rozwiewało się, a Czaykowski wszelkich sił dokładał, ażeby je jak najdłużej utrzymać. Rozczarowywał się — i to upokarzało jego dumę. Widział on wszędzie koło siebie intrygi i intrygantów, była to wszakże wina jego sposobu patrzenia, a nie rzeczywistość; tym mianem on nazywał wszystkich — zarówno Zamoyskiego jak i innych, którzy z nim razem działać nie chcieli lub nie mogli.

Skończyło się nareszcie powstanie; rozbitków nie brak było i w Turcyi, a to zwiększyło znowu szeregi kozaków otomańskich i znowu złudzenia o wojsku chrześciańskiem w Turcyi górę brać poczęły. Miały być formowane nowe pułki. Tak rzeczy stały w r. 1866, gdy nagle Śniadecka, będąca jedną z najsilniejszych bodźców w życiu Czaykowskiego, umarła. Śmierć jej była dla przyszłości Sadyka-Paszy bardzo ciężką, bo go pchnęła na drogę stosunków i marzeń bezpłodnych.

Wkrótce inne prądy powiały u steru rządu tureckiego; sympatye słowiańskie zmalały do tego stopnia, że wprowadzono do oddziału Sadyka komendę turecką, kasując dotychczasową polsko-słowiańską. Czaykowski odczuł to i podał się do dymisyi. Zdaje się wszakże, że ona nie doszła do ministeryum, gdyż nie przestawano przesyłać do niego rozkazów, poleceń, raportów — i jak gdyby o niczem nie wiedziano — polecono mu udać się do Szumli.

Tu znalazł on przychylnego sobie Abdul-Kieryma-Paszę, któremu opowiedział wszystko z żalem; Abdul-Kierym pokrył to polecenie milczeniem, rozkazał prowadzić dalej komendę po słowiańsku, a turecką znać dlatego tylko, ażeby na manewrach stosować się do niej. Miało to wywołać bardzo dobre wrażenie śród Bulgarów, ściągnąć ich do armii tureckiej i przyjaźnie usposobić dla Sułtana. Cała sprawa wykryła się, a z Kon-

stantynopola przyszedł rozkaz sturczenia kozaków. Sadyk podał się do dymisyi. Wówczas miał powiedzieć: „wszystko minęło! Na starość trzeba szukać innego życia, bo w tem niepolskiem nie można było dłużej wytrzymać“.

Pułk, straciwszy swoją cechę, nie miał już żadnego znaczenia; wcielono go do pułków tureckich, a oficerowie podali się do dymisyi i rozeszli się po świecie. Sadyk pozostał nadal w służbie tureckiej i, zdawało się, zerwał zupełnie ze społeczeństwem polskiem. Ten okres jego życia najmniej przedstawia interesu ogólnego aż do chwili powrotu do Rosyi. W tym fakcie objawiły się jego poglądy polityczne i społeczne zupełnie odrębne od wygłaszanych dotychczas. Nie były one wszakże ani czemś oderwanem, rzutem myśli, że tak powiem, objawionym nagle i nieoczekiwanie, lecz genezy ich szukać trzeba w pewnym całokształcie umysłowym Sadyka-Paszy, jako człowieka i pisarza. Odpowiedź na to znaleźć można po części w jego latach młodych, po części znajdziemy ją w jego utworach literackich; poznać się z nimi zatem w krótkości musimy.

V.

Na Wschód przybył Czaykowski w pełni swojej sławy literackiej. Było to w r. 1841. Do tej chwili żył ciągle życiem wewnętrznem, marzeniem po Ukrainie lub o Ukrainie do tego stopnia, że kiedy się znalazł w grodzie Piotrowym, pobyt ten pozostał na nim bez wrażenia. Dla niego piękność starego Rzymu nie istniała. Śród pamiątek, śród ruin dawnej sławy wielkiego niegdyś państwa on przechadzał się tak obojętnie jak niegdyś Atylla i myślał o kozakach jak tamten o swoich Hunnach. Na tym „nasypie pamiątek“ potęgi i sławy widział „praojców kozaczych“ (t. IV. wyd. lip.). W Rzymie (29 maja 1840 r.), poznał go tam wówczas Zyg. Krasiński i pisał o nim: „siedzi na podstawie kolumny korynckiej i gada o Skibickim, zarżniętym przez Hajdamaków; pójdzie do Koliseum i przypomina, jak ataman Konaszewicz przebił Bezborodkę; w Termach Karakali widzi Czarnieckiego jak ścina Wyhowskiego“. Śniła mu się Ukraina taka „hulaszcza“, jaką znał za młodości swojej czasów.

Zawód literacki rozpoczął już w Paryżu. Tak się zdaje. Właściwie niewiadomo, prawdopodobniej w Bourges, a do Paryża przyjechał już z gotowymi rękopisami i począł drukować je tutaj z nadzwyczajną szybkością jedne po drugich. Aleksander Jełowicki żartobliwie opowiada, że kiedy Czaykowski przyniósł do niego pierwszy swój rękopis, pismo jego, podobne do kutasów i zakręcań, przedstawiało mu się jak nahajki kozackie. Był to rękopis powieści kozackich.

Jaka była przyczyna, a raczej największy impuls, który go na pole działalności literackiej popchnął, Czaykowski sam to najlepiej wyjaśnił: „Nudno mi, tęskno było na czużynie. Włożyłem do pochwy szablę praojców, a zacząłem znowu marzyć o mojej dumce — kozaczyźnie; zacząłem pisać *Powieści kozackie* i *Wernyhorę*. Pisarze kozaczyzny, wieszcze słowa i myśli, przemienili się jak kameleony; jak gdyby wstydzili się swoich wielkich a dawnych utworów. Stroili kozaczyznę w katolicyzm, w demokracyę, w systemata konserwatywne, a dla popularności chcieliby się zaprzeć przeszłości, o teraźniejszości kozaczyzny wstydzili się wspomnieć, ażeby się nie narazić na pokutę Jezuity spowiednika albo na śmiech tuzinkowego krytyka. Grzechem śmiertelnym dla tych pofrancuzionych, poniemczonych pisarzy, polityczną zbrodnią było myśleć o przyszłości kozackiej.

Taki stan rzeczy był dla mnie najsilniejszym bodźcem do wzięcia za pióro. Zacząłem pisać. Naśmiewali się J. B. Ostrowski i Repelowski, ale drukowali i wydawali ks. Aleksander Jełowicki i Eustachy Januszkiewicz — i moje marzenie przeobrażało się w teoryę, w system, którego ja byłem pisarzem i ja musiałem być wykonawcą, bo nikt się nie znalazł, ktoby się chciał podjąć tej pracy dla kozaczyzny i dla Polski. Rzuciłem w świat polski *Powieści kozackie*, *Wernyhorę*, *Ukrainki*, *Hetmana Ukrainy* i inne pisma tegoż samego ducha, dążące do tegoż samego celu i po tym moim programacie udałem się na Wschód.

Kiedy wychodziło drugie wydanie *Wernyhory* (r. 1840), byłem już w Turcyi, pod opieką Monarchy, którego przodkowie, którego rząd nie podpisał żadnej umowy, krzywdzącej Polskę. (Pisma t. I. Wernyhora, wyd. lip., przedm. VII.).

Że impulsy, które go pchnęły na pole literackie były zupełnie osobiste, zaznaczył to Czaykowski najwyraźniej w je-

dnej ze swoich gawęd. „Z towarzyszem lat młodocianych, z najlepszym moim przyjacielem gadaliśmy o tem życiu, które za nami zostało o jedenaście lat z górą i do którego może nie powrócimy nigdy; gadaliśmy jednej zimowej nocy i mnie wzięła taka chętka do pisania, że rady sobie dać nie mogłem. Siadłem i pisałem myśląc: piszę dla siebie i dla Jana Omiecińskiego". (Pisma t. III. Powieści kozackie i gawędy str. 242). Przelał więc w te powieści i gawędy marzenia swoje i energię człowieka czynu, który siedzieć musiał bezczynnie.

Powiedziałem, że Czaykowski swój zawód literacki rozpoczął prawdopodobnie wkrótce po zamieszkaniu w Bourges, a do Paryża już musiał przyjechać z zapasem rękopisów, gdyż w r. 1837 wyszły po raz pierwszy jego *Powieści kozackie*, które mu zjednały rozgłos na emigracyi i w kraju. Późniejsze powieści następowały jedne po drugich z szybkością nadzwyczajną i ta właśnie okoliczność pozwala przypuszczać, że działalność literacka Czaykowskiego rozpoczęła się na kilka lat przynajmniej przed wydaniem pierwszych prób. Być może, że pisał on, jak sam powiada, „dla siebie i dla Jana Omiecińskiego", przyjaciela swego. Wskazywać na to zdają się świeżość wrażeń, siła, obrazowość, energia artystyczna, a nawet szczerość i naiwność w pojmowaniu i opowiadaniu wypadków, które w utworach, pisanych w Konstantynopolu znikają zupełnie. Za *Powieściami kozackiemi* ukazał się *Wernyhora* (Paryż 1838 t. 2), *Kirdżali* (Lipsk 1839 2 t.), *Anna* (Paryż 1840 2 t.), *Gawędy* (Paryż 1840), *Stefan Czarniecki* (Paryż 1840 2 t.), *Hetman Ukrainy* (Berlin 1841 2 t.), *Ukrainki* (Paryż 1841). Dość rzucić okiem na daty wydawnictw, ażeby się przekonać jak to wszystko szło gorączkowo, a zakończyło się prawie z wyjazdem jego na Wschód. Późniejsze powieści, jak *Nemolaka* (r. 1872, Lipsk), *Bulgarya*, jakoteż zbiór gawęd pod tytułem *Dziwne życia Polaków i Polek* (Lipsk 1864) i *Legendy* odbiegały bardzo od pierwotnego typu (Lipsk 1885).

Mówiąc wogóle o twórczości Czaykowskiego, możnaby ją podzielić na dwa wielkie okresy, na dwie części zbliżone do siebie, ale bardzo odmienne — tak samo jak dzieliło się całe życie jego. Do pierwszej należałoby zaliczyć to wszystko, co napisał, kończąc z rokiem wydawniczym 1841 t. j. co było napisane przed wyjazdem na Wschód i to co już niewątpliwie

powstało na Wschodzie. W tym pierwszym okresie Czaykowski zużytkował świeży materyał obserwacyjny i malarski, jaki z kraju wyniósł, świeży zapas wspomnień, gawęd, opowiadań, wrażeń bezpośrednio z kraju przyniesionych. Z wiekiem wszakże i z czasem materyał ten malał, zacierał się, barwy malarskie płowiały, a natomiast występowały nowe grupy doświadczeń i spostrzeżeń, z nowego życia, nowych krajów. Zdawałoby się, że i talent pisarza pójdzie na nowe tory. Tak jednak się nie stało. Wrażenia i doświadczenia pierwszej młodości były o tyle potężne, pamięć zatrzymała obrazy ukraińskie tak silnie, że już na inne myśli i barwy wyobraźnia jego zdobyć się nie mogła. Stąd też można śmiało powiedzieć, że twórczość jego wyczerpała się już w Paryżu. To co dał w Carogrodzie było reminiscencyą rzeczy ukraińskich, z wyjątkiem *Dziwnego życia Polaków i Polek*, rozsnute na tematach południowej Słowiańszczyzny. Na dolinach Tessalii, na płaszczyznach pod Saloniką marzyła mu się Ukraina, jej obrazy, barwy, życie. Okres ten zaczął się już w Krymie, gdy przed nim, na szczątkach i zwaliskach wielkiej Romy, przesuwały się walki i morderstwa hetmanów ukraińskich. One już wtenczas uciekały z przed jego oka w przeszłość bezpowrotną.

W tym drugim okresie jego twórczości pisarskiej, a raczej pracy tylko, bo twórczość opuściła go przed wyjazdem na Wschód, domieszał się czynnik, dla twórczości pisarza zawsze zabójczy: nienawiść do ludzi innych stronnictw i obozów. Wysuwał on tutaj na pierwszy plan niemiłe sobie osobistości i oblewał je żółcią swego zgryzionego i zbolałego serca. Własne winy, własną gorycz życia na innych składał. Pierwiastek osobisty, domieszany do każdej jego późniejszej pracy literackiej, nadawał jej cechy pamfletu i wysokiego niesmaku. A wady tej nie umiał się pozbyć do końca życia i wrogom swoim, prawdziwym lub domniemanym, nie przebaczał nigdy. Jakkolwiek *Bulgarya*, *Nemolaka*, a szczególnie *Legendy*, ostatnia jego praca, mająca cechy artystyczne, niepozbawione są tematów swojskich, Czaykowski zużytkował tutaj już zebrany w Turcyi materyał obserwacyjny, przeważnie w Bulgaryi i na Dobrudży. W pierwszej przebywał jako gubernator, w drugiej jako wędrowny emisaryusz i żołnierz.

Nad treścią i artystyczną wartością jego utworów literackich szeroko zastanawiać się nie będę, gdyż mogłyby one

same dla siebie stanowić przedmiot studyów krytycznych, jak to uczynił Stanisław Tarnowski, w *Przeglądzie polskim* z r. 1886.

Rozpatrując całokształt życia tego niezwykłego pod względem charakteru, talentu i temperamentu człowieka, muszę zachować pewien stosunek między jego pracą literacką a działalnością polityczno-wojskową i przyznać należy, że literatura dla niego najmniej miała znaczenia. Przez literaturę szedł on do innego celu, torowała mu ona drogę do czynu, a skoro tę drogę raz znalazł, literatura przestała być dla niego środkiem.

Nie chcę przez to bynajmniej powiedzieć, że praca jego literacka jest małego znaczenia. Już sam wpływ, jaki ona wywarła na współczesne społeczeństwo polskie, wpływ niezaprzeczony i wielki, dowodzi najlepiej, że to nie był pisarz tuzinkowy, że do skarbnicy literatury coś wnosił. Tak istotnie było: on, pominąwszy marzenia jego kozacko-polsko-słowiańskie, bałamutne, niejasne, a nie zawsze sympatyczne, skopiował na gorącym uczynku, że tak powiem, typy i życie tej chwili z życia ukraińskiego społeczeństwa, w której sam żył. Odtworzył dobrych stron tego życia mało, podniosłych i wielkich ani zadań, ani celów, ani charakterów nie tykał, ale wady przedstawiał świetnie i to w taki sposob, że u wielu bardzo nie wydawały się wadami. Kozaczyzna jego tak samo jak i szlachectwo były chimeryczne, swawolne, nierówne. Wynalazł on i zastosował do tych stanów wyraz „szablistość“, który w oderwaniu wzięty nie miał żadnego znaczenia, ale pod względem treści doskonale odpowiadał pojęciu fanfaronady wojskowej. Satyryczny *Pszonka* pisząc o nowonarodzonych ideach, powiadał: „idea szablistości znaczy, że zbawienie Polski w tem jest całe, aby szablą jak najwięcej machać. Ma to być płód Michała Czaykowskiego. Utrzymują, jakoby anioł polski wstąpił bez pośrednictwa w kałamarz Czaykowskiego i zapłodnił tą ideą jego romanse“. (Pszonka str. 15).

Powieściami kozackiemi nazwał Czaykowski krótkie opowiadania na tle wspomnień r. 1831 i przed nim osnute. W znaczeniu teraźniejszej klasyfikacyi niepodobna ich nazwać powieściami, bo brak im grupy wypadków jednością akcyi i opowiadania połączonych; jeden fakt, jedno wspomnienie, jeden wypadek, jeden obraz niekiedy autor chwyta i na papier przenosi z obawy, ażeby nie zatarł się, nie rozpłynął,

nie zginął. Są tutaj wspomnienia z różnych chwil r. 1831, przebytych i odczutych przez pisarza, różnych zdarzeń i bitew, nieraz bardzo żywo i barwnie opisane. Bitwy są pełne życia: widać że autor tam był, zna je, proch wąchał, przez tę gorączkę sam przeszedł. Tu da opis jakiegoś zwyczaju ludowego (t. III, 5), ówdzie zamaszysty opis konia (str. 14), ale na punkcie miary i prawdy, na punkcie wierności tła historycznego i wogóle samej historyi, szczególnie stosunków polsko-kozackich, nie umie utrzymać równowagi i wiernym nigdy nie jest. Przeszkadza mu do tego nietylko wybujały subjektywizm, ale osobiste poglądy na kozaczyznę i słowiańszczyznę, któremi napełnia usta bohaterów swoich lub rozpływa się w epizodach długich i licznych, powstrzymujących prawidłowy tok opowiadania. Temperament unosi go ustawicznie i nie pozwala spokojnie wcielić się i wmyśleć w dzieje; z tej też racyi, prawie wszystkie jego powieści, napisane we Francyi, grzeszą jednostajnem i niewyraźnem tłem historycznem. Historya i kozacy różnych epok dziejowych są podobni do siebie i raczej przypominają kozaczyznę dworską XVIII w., niż hajdamaczyznę i kozaczyznę, walczącą z Polską; trzeba tylko zamiast króla podstawić pierwszego lepszego panka ukraińsko-podolskiego, a zamiast Rzptej, jego dwór, ażeby tożsamość zrozumieć. Wierność królowi i Rzptej — to wierność panu, który mu daje „barwę“. Napróżno historyk pragnąłby odgadnąć do jakiej epoki ci kozacy należą — istna łamigłówka — nie zgadnie tego. „Za Batorego Lachy z kozakami tak się kochają jak gdyby pod jednym dachem wzrośli, u jednej matki pierś ssali“. (Pisma t. III, str. 9). Kozakowi Czaykowskiego „dość wiedzieć, że ojczyzna, że wolność zagrożona, aby rzucił wszystko i leciał ku jej obronie“ (ibid. 44). Doprawdy nie można powstrzymać się od smutnego uśmiechu, czytając to wszystko i gdyby nie niewątpliwa szczerość tego, co pisarz mówi, która nas rozbraja, możnaby go posądzić o złą wolę.

Kozacy jego trochę podobni do kozaków Bohdana Zaleskiego i tu i tam wzięta jest kozaczyzna wogóle z najszlachetniejszej strony; tylko że gdy Czaykowski, widząc złe, przypisuje to królom i Jezuitom, pragnącym ich nawrócić na katolicyzm, Bohdan Zaleski sprawy religijnej nie dotyka. Po za znaczeniem kozaczyzny historycznem, patrzą oni na nią

ze strony, powiedziałbym, malowniczej rycerskiej, bez względu na to, czy to jest Sahajdaczny, Doroszenko, Mazepa, Palij lub nawet Gonta.

W *Wernyhorze* dał nam Czaykowski po raz pierwszy obraz dziejowy pewnej chwili — bardzo smutnej, groźnej i dzikiej. Przedstawił tu mianowicie ruch włościański, znany pod nazwą *Koliszczyzny*, który w r. 1768 wybuchnął. Jako obraz, powieść ta przedstawia dużo żywości i plastyczności, dużo świeżego kolorytu ukraińskiego, jako całość powieściowa jest fałszywą, nieproporcyonalną i nie zawsze konsekwentną. Przedewszystkiem rola tytułowego bohatera bardzo mało rozwinięta, a pojęcie charakteru tej legendowej postaci, powiedziałbym, pospolite. Autor wyposażył go w zdrowy rozum, dał mu znamiona uczciwego, prawego, dobrego, trzeźwego nawet pod względem zrozumienia bieżącej sytuacyi człowieka, ale poza ten kres nie poszedł. Stąd też ta mierność jego umysłowa nie robi żadnego wrażenia w otoczeniu tak niezwykłem, jak moment dziejowy.

W powieści tej autor wysunął naprzód szczegóły — jak święcenie nożów — prawdziwe jako fakt pojedyńczy, ale fałszywe jako uogólnienie. Fabuła powieściowa wije się bardzo rozwlekle między Tamarą, doskonałym typem petersburskiego, salonowego kozaka, między kozakami Nekrasą, a Magdaleną Chiczewską. Tamara, przeznaczony przez cesarzową Katarzynę II. na hetmana Ukrainy, przyjeżdża z Petersburga dla poznania kraju, w którym ma „panować". Wierny dyrektywie dworu petersburskiego, wielkoświatowy szaławiła, marzący ciągle o salonach, Petersburgu, karyerze, rozkochuje się w prostej szlachciance, ale z tych co to na zagrodzie równy wojewodzie — właśnie w Magdalenie Chiczewskiej. Źle wszakże trafił. Serce panny już było zajęte przez Nekrasę, kozaka. U Czaykowskiego kozacy to nie „motłoch" według jego własnego wyrażenia, ale jakaś osobliwego rodzaju szlachta nieznana w historyi. Kozacy przeto w jego powieściach żyją za pan-brat ze szlachtą polską, a w szlachciankach kochają się zawsze na zabój. Co dziwniejsza, że nawet karmazyny nie opierają się temu, a cóż dopiero taka szlachta jak Imci pan Chiczewski. Ale też trzeba dodać, że i kozacy Czaykowskiego są prawdziwymi szlachcicami, noszą tylko nazwę kozaków i po kozacku się noszą, a na pierwszy odgłos: „król i Rzpta"

lecą „w mig“ miażdżyć wszystkich „na łój na masło“ — według ulubionego wyrażenia się Czaykowskiego. Takim kozakiem był także Nekrasa — jakże go miała nie kochać.

Wybuchł tedy bunt hajdamacki. Nekrasa chciał się w tę sprawę wmieszać, ażeby burzę zażegnać, tymczasem hajdamacy, ludzie niepolityczni, zatrzymali go. W tej burzy zbójeckiej dostał się w ręce hajdamaków i stary Chiczewski, ojciec Magdaleny. Widząc śród gromady rabusiów i zbójów Nekrasę, domyślał się zdrady, gdyż inaczej nie mógł wytłumaczyć sobie skądby się pośród nich mógł znaleźć Nekrasa. Przekonawszy się, że z rąk hajdamackich nie ujdzie cało, Chiczewski pisze do żony list, przestrzegając ją, ażeby córki za niego nie dawała. Tymczasem Nekrasa zdołał z rąk rabusiów wyzwolić się i, nie widziawszy się z Chiczewską ani narzeczoną, wyjechał do Krymu w poselstwie jakiemś do hana. Tamara także nie zasypiał sprawy i, zjednawszy sobie opiekunów Magdaleny, za ich pośrednictwem nacierał na przyśpieszenie ślubu. Dla młodej dziewczyny ponęta była wielka: Tamara miał ogromną przyszłość przed sobą. Zdaleka przedstawiano jej świetność tego małżeństwa, dwór petersburski, życie na wielkim świecie. Pod wpływem takich argumentów stopniało serce matki. Ale odporniejszą okazała się córka. Tamara, spotkawszy przeszkodę ze strony panny, pragnął ją przełamać sposobem prostym i znanym: zamierzył wykraść Magdalenę i ślub wziąć przemocą. Matka miała wszakże córkę na wydanie, ale na sprzedaż — nie. Tamara wziął się do czynu niezręcznie, służba się pobudziła i wykonaniu zamiaru przeszkodziła. Magdalena, widząc, że ten kozak salonowy pragnie ją przemocą porwać w małżeństwo, rozumuje sobie po staropolsku: albo małżeństwo z ukochanym albo klasztor. Ukochany nie zjawiał się — wstąpiła do klasztoru. Wrócił on wprawdzie, ale zapóźno: śluby zakonne już były wykonane.

Tak gładko w streszczeniu przedstawia się *Wernyhora*, w czytaniu epizodyczność i rozwlekłość, jakoteż kwiecistość i nienaturalność stylu czynią ją czułą, chropawą i ciężką.

Z wyjątkiem powieści *Anna*, wszystkie inne są historyczne. Naturalnie, mam tu na myśli te tylko, które się kończą z rokiem 1841. Późniejsze — jak *Dziwne życia Polaków i Polek*, jakoteż *Legendy* nie mają już charakteru powieścio-

wego, chociaż tło historyczne, a *Bulgarya* i *Nemolaka* należą do współczesnych, osnutych na stosunkach chwili bieżącej. Historyczność ich, niepewna i niewyraźna pod względem dziejowym, odnosi się raczej do osób działających, niż do trafności i wierności historycznego obrazu społeczeństwa. W ciągu tej swojej kilkoletniej działalności pisarskiej, odstąpił Czaykowski od historycznego tematu polskiego raz tylko, dając powieść *Kirdżali*. Z powieścią tą wkroczył on do świata muzułmańsko-słowiańskiego, nieznanego mu zupełnie, a przedstawił go z temi samemi cechami i barwami jak przedstawiał świat kozacki. Dzikość, gwałtowność niepohamowana w czynach i uczuciach, fantastyczność sympatyczna ale nieprawdziwa cechują tę powieść tak samo jak wszystkie utwory Czaykowskiego na tle kozaczyzny. Już wówczas, kiedy pisał *Kirdżalego*, rwał się niewątpliwie Czaykowski do świata muzułmańskiego i południowo-słowiańskiego, pragnąc tam wcielić swoje idee o kozaczyznie i rozbudzić świat słowiański na korzyść interesów polskich. Może tą powieścią awanturniczą pragnął sobie utorować drogę do serca wszystkich oczajduszów, to jednak jest prawdą, że powieść ta porwała i zachwycała bardzo młode umysły, żądne niezwykłego życia i wybijała młode myśli z normalnego biegu. We dwadzieścia kilka lat po napisaniu jej, Czaykowski, już jako Mechmed Sadyk-Pasza był z niej niezadowolony — niezadowolony bardzo z powodu, że świat muzułmański przedstawił zbyt czarno. Gniewał się na Lamartin'a, Girardin'a i innych pisarzy o Wschodzie za to, że mu ten świat w fałszywem świetle przedstawili, prace ich nazwał „ramotami potentatów publicyzmu". Sąd strasznie niesmaczny i zarozumiały. Ganiąc innych, chciał w ten sposób wytłumaczyć błędy popełnione w *Kirdżalim*, czerpiąc z nich wiedzę swoją o Wschodzie. „Chociaż — powiada w r. 1862 — przywilej powieściarzy, tak jak myśliwców, jest tworzyć prawdopodobne rzeczy, a nie prawdę, powinnością bawić a nie uczyć, jednakże każdy z tych powieściarzy, dotknąwszy Wschodu ciałem i duchem, żałuje że był w błędzie i nieraz sobie mówi: wolałbym był nie pisać tak jakem pisał". (Pisma, t. II, przedmowa, VIII). St. Tarnowski, który w cytowanym już artykule o Czaykowskim, jedynym najlepszym i najobszerniejszym, w którym objął wyłącznie tylko działalność jego literacką, słusznie robi uwagę, że w *Kirdzalim* należy upa-

trywać początków tej pokusy, która go później uwiodła i na Wschód zawiodła (str. 423 Przegląd pol. 1886).

Treść tej powieści bardzo awanturnicza, przesiąknięta fatalizmem, a często nieprawdopodobna. Słowiańszczyzna południowa gotuje się do zerwania pęt tureckich, i szuka człowieka, któryby na czele jej stanął. Sprzysiężeni nie żądają od niego żadnych przymiotów ani umysłu, ani ducha: odwagi, zdolności wojskowych, znajomości kraju i ludzi, stosunków potężnych, któreby mu dopomogły do zwycięstwa. Wierzą oni natomiast w przepowiednię, że zwyciężą dopiero wówczas, gdy będą mieli wodza z krwi polskiej. Co ważniejsza, że w naiwność tej przepowiedni wierzą wszyscy. Opieranie zwycięstwa na przypadkowości w chwili tak ważnej, gdy ważą się losy całego narodu, jest poniekąd wskazówką, że cała powieść pójdzie torem niezwykłym. Istotnie, sprzysiężeni znaleźli sobie takiego bohatera. Był nim Kirdżali, giermek silistryjskiego baszy, muzułmanin, ale pochodzący z krwi chrześcijańskiej, a w dodatku był synem Polaka. Ten ostatni warunek jest na razie najważniejszym. Wchodzą tedy z nim w porozumienie i wciągają do spisku. Oczywiście, ponieważ jest to powieść awanturnicza w całem tego słowa znaczeniu, Kirdżali zgadza się zdradzić i zamordować paszę, a dopiero potem pójść do sprzysiężonych. Okazało się, że nie jest to rzeczą tak łatwą jak się zdawało: na przeszkodzie stanęły prośby i piękne oczy córki baszy, która go o ratunek ojca prosi. Wahający się między zdradą a miłością, Kirdżali idzie za popędem serca; później wszakże zdradza baszę, Selimę i ucieka do swoich. Po ucieczce przyjął chrześcijanizm i ożenił się. Szczęścia w miłości nie znalazł jednak, bo go nie było w jego niespokojnej, gorącej duszy. Wkrótce począł podejrzywać bojara Tudora o tajemne miłostki z żoną; żonę uczynił nieszczęśliwą, a sam, skutkiem swego gwałtownego charakteru także ani szczęścia, ani spokoju nie zaznał. Namiętny, zazdrosny, niepohamowany, zamordowawszy niewinnego Tudora, sam wreszcie padł w bitwie z Arnautami. I przepowiednia nie sprawdziła się, zapewne dlatego, że „taki koniec nieszczęścia zapisany był dla nich w księdze przeznaczenia“.

Streściwszy króciutko główny temat powieściowy, nie będę się zastanawiał nad epizodycznemi postaciami i wypad-

kami a jest tego dużo, wszystko to na tle jaskrawem, żywem, awanturniczem, pełnem fantazyi zamaszystej. Brak prawdy objawia się tutaj nietylko w pojmowaniu charakterów, ale i w dyalogu, który jest pretensyonalnym, szczudłowatym. Janczarowie, krew, zabójstwa, krzywe szable, gorąca miłość, gwałtowna zdrada, przebaczenia przed śmiercią — wszystko to autor nagromadził w dużej ilości, jak gdyby pragnął umyślnie pokazać przepych awanturniczy Wschodu.

Najlepiej niezawodnie pod względem równości i prawdziwości opowiadania przedstawia się *Stefan Czarniecki*. Wmyśleć się, wczytać się w dzieje, tak, ażeby ducha ich zrozumieć i oblicze pewnego okresu odtworzyć, Czaykowski nie umie i nawet śmiało można powiedzieć — nie potrafi. Zna on fakty dziejowe, wypadki, zdarzenia, osoby, ale całości nie umie sobie wyobrazić i dlatego wszystkie jego powieści historyczne robią wrażenie rysunku bez perspektywy, a raczej malowidła nietylko bez perspektywy, ale malowanego w jedną barwę. Od tej wady, nie wiem czy ducha czy talentu pisarza, nie jest bynajmniej wolny *Stefan Czarniecki*, lepszy wszakże o tyle od innych powieści historycznych, że posiada więcej prawdopodobieństwa. Pominę i tutaj stronę historyczną powieści, a streszczę tylko fabułę.

I w tej powieści występuje ulubiony temat M. Czaykowskiego: miłość między kozakiem a szlachcianką; temat o tyle chyba odmienny, że szlachcianka nie jest byle jaką, lecz Joanną Lanckorońską. Tak więc z jednej strony występuje kozak Samen Tetera, syn hetmana ukraińskiego Tetery, a przybrany syn Stefana Czarnieckiego, z drugiej — córka hetmańska Joanna Lanckorońska. W samem zestawieniu tych nazwisk tkwi mrzonka ulubiona Czaykowskiego o równości szlachetczyzny z kozaczyzną. Opierała się ona na tem błędnem mniemaniu, że Daszkowicze, Wiśniowieccy, Zborowscy, a nawet Chmielniccy i Wyhowscy -- nie biorąc w rachubę drobiazgu szlacheckiego z Polesia kijowskiego — byli kozakami i przedstawicielami jakiejś niby arystokracyi kozackiej, gdy w samej rzeczy byli oni i przyznawali się całe życie tylko do szlachectwa polskiego, a kozakowanie uważali bądź jako swawolę, bądź jako rodzaj służby wojskowej. Gdyby nie ta szlachta polska, kozakująca na kresach, a spanoszona, w imię nadziei ambitnych odrywająca się od pnia macierzy-

stego — nie byłoby wojen kozackich. Kozaczyzna Bohunów, Krzywonosów, Puszkarenków, a później Sahajdacznych, Doroszenków, nawet Palijów i Sirków, tembardziej Żeleźniaków i Gontów nie miała i nie mogła mieć nic wspólnego ze społeczeństwem szlacheckiem Rzptej. Bierali oni niejednokrotnie Polki za żony, ale tylko przemocą. Współczesny szlachcic nadto dobrze wiedział, że duch kozacki to duch rozbójnictwa kresowego, niespokojny, gwałtowny, dziki, fanatyczny skutkiem ciemnoty; pogląd ten zapisał zbyt wyraźnie w *Volumina legum* — nic przeto dziwnego, że ani do przyjaźni ani do związku z kozakami nie dążył i zaszczytu tego nie szukał. A tymczasem Czaykowskiemu ciągle marzyła się równość kozacko-szlachectwa i przyszłość w ten sposób zrozumianą pragnął narzucić nowożytnemu czytelnikowi.

W *Stefanie Czarnieckim* ta sama teza. Lanckorońska, córka wielkiego rodu wybrała sobie na męża syna kozackiego, cieszącego się bardzo młodem szlachectwem. Gdyby autor traktował ten stosunek jako przypadkowy, którego nierówność rozumiano, rzecz przedstawiałaby się zupełnie inaczej. Biorąc rzecz ze stanowiska owoczesnego, zdarzało się, że szlachcianki polskie siadały na tronach potężnych państw, ale szlachectwa swego nie mieniały na buławy hetmańskie, a w dodatku hetmanów kozackich.

Tak czy inaczej, dość że w powieści Czaykowskiego panna i kozak kochali się. Byliby się może już na pierwszej karcie pobrali, gdyby nie potrzeba „bawienia“ czytelnika, a zatem wprowadzenie do powieści różnych przygód. Autor wynalazł sobie złego ducha w osobie Samuela Gnoińskiego. Jest on stronnikiem Szweda, zdrajcą króla, butny, ambitny, pycha go rozsadza, nic przeto dziwnego, że zachciewa mu się hetmanówny. Byłby może dopiął swego celu, gdyby na drodze do pragnień nie stanęła mu — kobieta. Była to Radziejowska, wdowa po jednym, rozwiedziona z drugim mężem, w sprawach miłośnych doświadczona i idąca drogą na przebój do pozyskania jeżeli nie serca to ręki i osoby pana Samuela. Między tymi osobami autor zręcznie nawiązał intrygę, narzucał im na drogę życia mnóstwo cierni i przeszkód, które trzeba było pokonywać i w ten sposób zdołał powieść uczynić bardzo żywą i interesującą. Gdyby Czaykowski żył teraz, pewna grupa krytyków, dla których literatura polska zaczyna się

i kończy na Sienkiewiczu, powiedziałaby, że autor „naśladował“, albo co najmniej „był pod wpływem“ autora Zosi czy Kasi — mniejsza o imię. Ale ponieważ *Stefan Czarniecki* ukazał się w r. 1841, trudno chyba Sadyka-Paszę o naśladownictwo posądzić. A są u niego oprócz awantur prawdziwie cudownych, jakie tylko w *Ogniem i mieczem*, w *Potopie* lub *Wołodyjowskim* znaleźć można, nawet postacie żywcem wyjęte z *Trylogii*, jak n. p. Żytkiewicz. Przyznam się wszakże, że mię to podobieństwo mało interesuje. Muszę się trzymać w ramach charakterystyki zasadniczej, a szczegółami typów i charakterów zajmować się nie mogę.

Przechodzę tedy do dalszego streszczenia romansu. Ażeby pannę zdobyć i przeszkody zwalczyć, Gnoiński zawiera alians nietylko ze Szwedami, ale ze szpiegami i krewnymi hetmanówny. Byłby może łatwiej dopiął celu, gdyby to nie była sprawa z Czarnieckim, opiekunem Joanny i ojcem przybranym Tetery. Ten sobie stanowczo nie życzy na męża dla niej Gnoińskiego. Rozpoczyna się tedy gonienie za panną. Wobec niepokojów w kraju, zamknięto ją w obronnej Lanckoronie. Ale — jak nieszczęście to nieszczęście — Lanckoronę zdobywają Szwedzi, autor zdołał jednak szczęśliwie uratować Joannę i przewieźć ją do Krup, zamku w Lubelskiem. Zdawało się, że tu już będzie spokojnie. Oddalona od świata, od ludzi, od niebezpieczeństwa, panna mogła spokojnie marzyć o kochanku. Ale myślano też i o niej. Do zamku w Krupach przyjechał Imci pan Żytkiewicz, rodzaj Zagłoby, jakby powiedziano u nas; po co przyjechał to przyjechał, dość, że zjawił się nie sam ale z dwiema paniami. Do pań któżby się tam przypatrywał, zwłaszcza, że oblicza swoje zakrywały, zabawił czas krótki i z dwiema odjechał. Ledwie jednak zamek opuścił, wpada Gnoiński. Postanowił on wziąć ślub z hetmanówną. Przeszkód niema żadnych, jest panem sytuacyi. Każe ubierać pannę młodą i prowadzić do ołtarza. Wtem — trach! Jak z pod ziemi wyskoczyło wojsko królewskie, zdobyło zamek, wpadło do kaplicy, co za dziwo! — przed ołtarzem stoi zamiast Joanny pani Radziejowska. A to taką zamianę urządził stary urwis Żytkiewicz. Możnaby śmiało powiedzieć, że scena wyjęta żywcem z jakiejś powieści historycznej Sienkiewicza.

Na tem bynajmniej nie kończą się cudowne przygody.

Hetmanówna uciekła do Warki, a tu za nią Szwedzi! Biedna kobieta schroniła się na wieżę kościelną. Tylko niedoświadczona kobieta mogła się tam schować, boć przecie na wystrzały armatnie była więcej narażona, niż dajmy na to — w piwnicy. Ale Czaykowski niedaremnie ją tak wysoko schował. Siedząc na wieży widzi ona jak nadciągają wojska polskie, poznaje Czarnieckiego i Teterę — bitwa — Szwedzi pobici, uciekają. Panna na to wszystko patrzy. Zdaje się, że już powinien być koniec powieści, gdyż pannie, znękanej wypadkami, należy się także trochę spokoju. Ale póki żyje Gnoiński, spokoju nie będzie. Otóż, i na to znalazł się sposób. Stary burgrabia lanckoroński Radzik zabija go święconą kulą jako zdrajcę — poczem dopiero — dobrze zasłużony — ślub.

Pomimo zwykłej cechy talentu pisarskiego Czaykowskiego, awanturniczości, powieść ta zharmonizowaniem i ustosunkowaniem wypadków, żywością i ciągłością akcyi, brakiem koturnowych bohaterów, zalicza się niewątpliwie do najlepszych i nawet obok Sienkiewicza czytać ją można. Psychologicznego pogłębienia nadaremnie tu szukać, ale prawdy dużo. Kochankowie mało do siebie mówią, a miłość okazują sobie w sposób bardzo pierwotny i naiwny: ona zna tylko jedną mowę zakochanych prowincyonalnych panienek — westchnienie, a jemu wyrazem uczuć służy skarogniady konik. Zdaje się, że między jeźdźcem a koniem istnieje jakiś prąd galwaniczny czy inny, który koniowi znać daje o usposobieniu jeźdźca; gdy pan Semen wesoły — skarogniady skacze, gdy smutny — skarogniady zwiesza głowę. Taki nastrój konia w stosunku do jeźdźca, wziął Czaykowski, jak wiele innych porównań, z pieśni ludowych ukraińskich.

W *Koszowacie* także się bez kozaka nie obeszło. I w tej niedługiej powieści, jak w *Wernyhorze,* opowiadanie rozszerza się na tle pomruku hajdamackiego, a kończy się morderstwem bezcelowem. Córka cześnika Marya wyszła za mąż za starostę koszowackiego, któremu wojewoda kijowski podarował kozaka Maksyma. Starosta, człowiek szorstki, ostry, gwałtowny, dla żony tyran i podejrzliwy, lubi nadstawiać ucha na skargi i żale pochlebców, a Maksym, jak wszyscy kozacy Czaykowskiego, przebrany w „barwę“ pańską trochę przypomina kozaka z *Maryi* Malczewskiego. Jest to feniks, nie z popiołów kozaczyzny powstały, ale z marzeń autora. Do

bry, piękny, odważny, szlachetny, niewinny, jednem słowem, według własnego, a raczej ludowego ukraińskiego powiedzenia, często stosowanego przez Czaykowskiego — „gdzie nie powróć — to kozak“. Ile autor pięknych barw udzielił Maksymowi, tyle czarnych nie poskąpił staroście i „panom braciom“. Tajemnie wzdycha on do żony starosty, spostrzegają to żyd — raportujący staroście w roli szpiega i rządca koszowacki; nic dziwnego, że takie podejrzenie, rzucone na żonę, napełnia goryczą starostę i źle go usposabia dla Maksyma. Maksym „czerwienieje“, „dumnie rzuca okiem“, ale on, odważny zwykle, nie umie zdobyć się na krok stanowczy; Marya „spuszcza oczy“, czule patrzy, ale gdzieżby ona miała odwagę przyznać się, że kocha „chama“. Czuje tylko dla niego wdzięczność za to, że raz, gdy wracali z odwiedzin sąsiedzkich do domu, w lesie, w noc zimową, kiedy wilcy „kiczkami“ chodzą, a na jadących napadła taka gromada, Maksym dla ratowania „państwa“ skoczył między wilków. Tu odbyła się scena naśladowana z Sienkiewicza, której epilog był taki, że Maksym z pośród wilków wyskoczył wprost na dąb i tam sobie siedział spokojnie, patrząc z góry jak wilcy, zamiast jego, burkę rzuconą im na pastwę, w kawały szarpią. Szkoda tylko, że wraz z Maksymem zginęła tajemnica tego w jaki sposób zrobił on ów skok na wierzchołek dębu, godny nieśmiertelnego sowizdrzała Zagłoby.

Na dworze koszowackim była dziewczyna służebna Maryi Marta, do której zalecał się pisarz Jurko, przechrzta. Ale Jurko ani w myśli jej nie postał, gdyż oczy jej zwracały się w tym samym kierunku co i pani — na Maksyma. Wmięszała się w tę sprawę sercową Marya, wymogła wyznanie miłości u dziewczyny, nieme przyzwolenie kozaka, ale nie spał także i rządca, którego oczy podnosiły się również nieśmiało na Maryę. Obudził on — niewiadomo w jaki sposób zazdrość w sercu starosty, który kazał Maksyma zabić w „husaka“ i do więzienia wtrącić. Byłby tam niezawodnie odważny kozak życie zakończył, dzięki temu, że Czaykowski święcie wierzy w barbarzyństwo szlachty względem kozaków i smaży ich, wbrew prawdzie historycznej, na żelaznych wołach, ale znaleźli się ludzie litościwi w postaci hajdamaków. Zbierali się oni już dawno na dwór koszowacki, dlatego, ażeby „pidpomohty sia“. Napadli, starostę i rządcę zamordowali,

Maksyma z „husaka“ wypuścili, ale on ani myślał rabować razem z nimi — rzucił się co rychlej na obronę Maryi. Cudów „szablistości“ dokazywał, aż zdołał nareszcie ocalić Maryę — i cóż? Skończyło się tak, jak kończy się nitka przysposobiona do nawleczenia — cieniutkiem włókienkiem. Kiedy watażka zapytał: kto się chce żenić z panią? Ani jednego amatora nie było. Maksym ze swojej biernej miłości nie wyszedł. Jemu i jej zabrakło odwagi, co jest tem dziwniejsze, że autor przygotował na koniec jeszcze jedną niespodziankę, która do pobrania się mogła utorować drogę. Zamek koszowacki, a raczej dwór obronny, bo zamku nigdy tam nie było, należał niegdyś do arystokraty kozackiego Imci pana Czorby, krewnego Apostoła, hetmana wprawdzie niegdyś, ale zawłoki z Wołoszczyzny. Otóż ów Czorba miał syna, który mu się kędyś zawieruszył. Na ostatniej karcie powieści dowiedzieliśmy się, że Maksym był właśnie owym zgubionym synem. Wobec tego już nawet nic na przeszkodzie do małżeństwa nie stało. Powieść więc pod tym względem czytelników, lubiących zakończenie jasne, nie zadowalnia.

O *Ukrainkach* i *Hetmanie Ukrainy*, którego przedmiotem jest śmierć Wyhowskiego, rozwodzić się nie będę. Nie przynoszą one pod względem charakterystyki i cech pisarskich nic nowego. Kozacy ci sami, nie kozacy historyczni, ale Czaykowskiego, utworzeni trochę na modłę kozaków otomańskich. Są oni albo skromni jak panny, czerwienieją i spuszczają oczy, albo dumni, patrzący iskrzącymi oczyma — jak Maksym w *Koszowacie*. Wszyscy oni odważni odwagą dzikiego człowieka, „miażdżą na łój na masło“ kogo się nadarzy — Niemców — Szwabów albo braci szlachciców. Jeżeli piją, to najchętniej łykają duszkiem, bez względu na to, czy maliniak, czy siwuchę; jeżeli u progu pańskiego — to maliniak, jeżeli w karczmie — to siwuchę. Na koniach harcują jak waryaty, a na skarogniadych najczęściej autor każe swoim bohaterom dawać „susy“ i „szczupaki“.

Powieść współczesna nie przypadała do smaku Czaykowskiemu; nie godziła się ona z jego temperamentem, charakterem, usposobieniem — słowem, z całą jego naturą. On był także trochę kozakiem, na wzór tych, jakich w powieściach przedstawiał, ciasno więc mu było na bruku i w salonie. Wady społeczne, narodowe i towarzyskie dostrzegł do-

brze, ale przedstawić ich z pewnym wdziękiem salonowego życia nie umiał. Okazało się to najlepiej na *Annie*. Typ szlachcianki, której literatura francuska przewróciła w głowie, lekkomyślnej, głupiej, próżnej, zaobserwowany w Pani Marszałkowej bardzo dobrze. Można śmiało powiedzieć, że Czaykowski był jednym z pierwszych, który taki typ przedstawił. Dziś on zanika zupełnie, polskie społeczeństwo poważnieje i pogłębia się; tylko jeszcze na tak zwanym wielkim świecie resztek takiego typu doszukać się można. Są to pod wielu względami nieszczęśliwe istoty niedouczone, zmanierowane, wychowane na powieściach francuskich i żyjące, jak dawniej w świecie pani Sand i Dumasów tak teraz różnych Ohnet'ów, a nawet Zola'ów, Goncourt'ów i t. p. Owa marszałkowa w *Annie* nietylko sama wypaczona tą niby wielkoświetczyzną, ale ciągnie w przepaść sentymentalną pannę Annę. Marszałkowa, chora niezawodnie na pańskość i na „modne tony", gadająca bezustannie po francusku, piłująca męża, starego napoleonistę, o sprowadzenie książek francuskich dla córki, jeszcze dziś nie byłaby typem przeżytym, gdyby tylko postawić ją w nowożytnych warunkach otoczenia. Anna, naczytawszy się powieści — jak Tarnowski mówi — o poetycznych rozbójnikach, szlachetnych złodzieiach, interesujących oszustach, miała zarówno wyobraźnię jak i uczucia zupełnie wypaczone. Kocha się w niej człowiek prawy, trzeźwy, dobry p. Jan — ale panienka ani spojrzy na niego, bo w nocy śnią jej się hrabiowie i książęta z romansów, a jeżeli ma już pójść zamąż, to za jakiegoś wykształconego i światowego człowieka.

Los wkrótce jej takiego człowieka zsyła. W podróżach swoich między Berdyczowem a Żytomierzem poznaje ona właśnie czarującego młodego człowieka, hr. Adalberta Borowicza. Gładki, łatwy, przystępny, „wyższym duchem" obdarzony, pan hrabia Adalbert zdobywa sobie bardzo łatwo serce młodej panny. Kawaler jak z powieści. Ona właśnie o takim marzyła. Następuje miłość wzajemna gorąca i gwałtowna, jak w najpiękniejszym romansie francuskim. Daremnie ojciec widzi w hr. Adalbercie pospolitego blagiera, ostrzega i na związek małżeński nie pozwala, matka staje po stronie córki. Anna, bierna, sentymentalna, głupiutka, niedoświadczona a rozkochana, nie daje sobie wyperswadować nawet zrzeczenia się możności posiadania takiego skarbu, jakim jest hr. Borowicz.

Ludzie mówią o nim na ucho bardzo źle, ale to nietylko jej nie ochładza, lecz przeciwnie, budzi w niej pragnienie poprawienia złego człowieka, na tej zapewne zasadzie, że jak się ożeni, to się odmieni. Ale — jak to zrobić? Ojciec na nic pozwolić nie chce. Sąsiadki wraz z matką i córką na walnej naradzie postanawiają skorzystać ze sposobności. Marszałek ma zamiar wyjechać do Petersburga. Chwila ta wydaje się najstosowniejszą do tego — jak wróci już będzie po harapie. Nic innego nie pozostanie jak tylko dać ojcowskie pozwolenie i błogosławieństwo. Robią się tedy starania o indult, potem ciche przygotowania, wreszcie ślub. Ledwie wziął ślub, a już czekała niespodzianka bardzo niemiła: dowiedział się, że go policya poszukuje i to nie bez racyi. Pokazuje się, że pan hrabia już jedną żonę ma... Bardzo niemiła historya, mająca tylko dwa rozwiązania: albo ucieczka albo więzienie. Hrabia wybiera ucieczkę. Zostawia drugą żonę w sąsiedztwie, sam umyka.

Po tej próbie romansowej, zakończonej bardzo nieszczęśliwie, Anna przychodzi do rozwagi i zastanowienia. Ochłonęła, dojrzała w smutku. W takiej chwili zjawia się przed nią odrzucony Jan, który ją zawsze kocha. Uczciwe uczucia zaczynają brać górę, a tymczasem hrabia-mąż nie zjawia się i nie wiadomo czy się zjawi, zresztą — gdyby się nawet zjawił, wszakże małżeństwo jego wobec prawa nieważne. Trzeba szukać wyjścia. Do tego jedna tylko droga prowadzi: rozwód. A tymczasem miłość dla Jana wzrasta. Autor wydobył z kłopotu wszystkich, i czytelnika i zakochaną parę: kazał hrabiemu umrzeć i w ten sposób utorował drogę do nowego małżeństwa.

Co do treści, powieść ta nie jest wcale złą—dziś nawet, a dla współczesnych miała nawet swoje duże znaczenie. Tylko że w opowiadaniu nie tak wszystko szło gładko, a epizodyczność, gadulstwo i nienaturalność czynią ją dla nowożytnego czytelnika — nudną po prostu.

VI.

Drugi okres działalności literackiej Sadyka-Paszy t. j. od r. 1841 był mało płodny. Wspomniałem już o tem częściowo. Czaykowski nie był tylko pisarzem, ale człowiekiem czynu, gdy pole dla siebie znalazł, literatura stanęła już na drugim planie jego życia. Jest to tak dalece prawdą, że można dokładnie oznaczyć czas powrotu jego do pióra: wówczas właśnie, gdy się rozstał z ideałami dawnymi, a oderwany od kraju i zbłąkany na manowcach polityki słowiańskiej w Turcyi, jął się z goryczą analizować to, co niedawno kochał. Nie mając możności stanąć na czele nowych sił, nie mogąc skupić koło siebie nowych ludzi, z początku zaczął ich krytykować, a potem, usuwając się z goryczą w zupełne odosobnienie i samotność, zaparł się samego siebie. Mogło to być między rokiem 1863 a 1870. Okres ten mógłby się trochę cofnąć o tyle, o ile zachodziła różnica między napisaniem a wydaniem pewnego utworu, a różnica ta nie była nigdy wielką jak każdy łatwo przekonać się może. W roku 1865 wyszły jego *Dziwne życia Polaków i Polek*, które na wskróś jeszcze mają charakter polski — wspomnień osobistych, wolnych od domieszki politycznej. Potem nastąpiła *Bulgarya* (1872) nie mająca dla nas żadnego znaczenia, następnie *Nemolaka* (1873) i w końcu *Legendy* (1885). Na tem zakończył.

Przedewszystkiem trzeba zauważyć, że od chwili ukończenia wojny wschodniej, kiedy Czaykowskiego ominęła wielka rola, jakiej był blizki odegrania, wyrabiać się w nim począł

krytycyzm wszystkich usiłowań i dążności, mających związek z interesami polskimi. Była to krytyka człowieka niezadolonego i ambitnego, pozbawiona miłości, chociaż o miłości kraju ustawicznie mówił. Kochał go niezawodnie, ale w jakiś dziwny sposób — jak jeździec kocha konia, którego gotów jednak zabić, gdy go do celu nie doniesie. Brak ciepła miłości w krytyce jego a nadmiar żółci, odsuwały od niego wielu, najżyczliwiej usposobionych. Długi czas, bo lat prawie dwadzieścia za pióro nie brał, a gdy je wziął — już ono zatraciło wszystkie barwy dawniejsze, a gorycz tylko tryskała. Puścił tej goryczy cugle w *Dziwnych życiach* czy to mówił o jenerale Chrzanowskim w Stambule (Pisma, t. IX, 124), czy ironicznie oceniał centralizacyę demokratyczną w Paryżu (ibid. 128), ale to jeszcze było niczem w porównaniu do tego cynizmu, jaki okazał w *Nemolace*. Zdaje się, że w *Dziwnych życiach* jeszcze go trzymała na wodzy Ludwika Śniadecka, gdy jej zabrakło stał już na obczyźnie zupełnie samotny i pozbawiony wiary w przyszłość. To co pisał po śmierci Śniadeckiej już miało wartość tylko ujemną, było świadectwem zupełnego upadku talentu pisarskiego i upadku ducha. Gdyby był miał odwagę zamknąć gorycz w sobie, nie pisać, nie znieważać własnego sztandaru, pod którym w czasie młodości stanął, nie pluć cynicznie w twarz narodowi, byłby niezawodnie uratował, jeżeli nie czystość przekonań politycznych, to czystość charakteru. Nie umiał się jednak powstrzymać. Zdolny pisarz, dzielny żołnierz, rwał się koniecznie na czoło politycznej akcyi i zdawało mu się, że stanie na zniewadze i lekceważeniu innych. Grunt to był bardzo ruchliwy, lepszych, silniejszych od niego nie utrzymał, nic dziwnego przeto, że i jego utrzymać nie mógł. Nikt na piaskach marzeń nie buduje.

Do jakiej kategoryi utworów literackich zaliczyć *Nemolakę?* Posiada on niezawodnie cechę powieściową, ale artystycznych zalet nie posiada żadnych; tu i owdzie można spotkać jakiś obrazek poetyczny, ślad dawnego talentu, całość jednakże, oprócz dawnych wad pisarskich Czaykowskiego — jak luźność akcyi, epizodyczność i swawola stylowa — zawiera jeszcze podkład antinarodowy, zaprawny żółcią tak dalece, że wychodzi po za ramy powieści, a staje się pamfle-

tem politycznym. Autor położył na tej powieści datę: 28 lutego 1871 w Carogrodzie, która daje poniekąd klucz do zrozumienia nastroju pisarza. Była to chwila przełomowa w jego życiu. Szukał on w swoich myślach i uczuciach dawniejszych, błędów i wad, które starał się potępić w sobie i w innych. Jak dawniej widział Słowiańszczyznę i przyszłość Polski w Turcyi, tak teraz zarysowała mu się idea związku z Rosyą, stojącą na czele owej słowiańszczyzny. Wszystko więc, co przeciwko tej idei wrogo występowało, znalazło w nim gorącego przeciwnika. Potępiając ideę, sam nie spostrzegł, kiedy zeszedł z drogi narodowej. I tu wygórowana ambicya mgłą marzeń zakrywała mu oczy, a usposobienie awanturnicze wzięło przewagę nad rozsądkiem. W *Nemolace* znać już to szamotanie się niespokojnego ducha, które zupełnie z czasem wysadziło go z równowagi.

Treść *Nemolaki* bardzo zagmatwana, poszarpana, niespokojna jak jego myśli, z trudnością da się wydzielić z epizodów, nie mających często nic wspólnego z powieścią, a przepełnionych gorzkimi osobistymi poglądami politycznymi na rzeczy i ludzi, tak że, ściśle biorąc, składa się ona z dwóch części: powieściowej i politycznej, powieściowa — jest fabułą, polityczna — krytyką. W takim też porządku zastanowimy się krótko nad *Nemolaką*.

Przedewszystkiem o tytule. Nemolakami nazywają na Dobrudży, gdzie większa część powieści rozgrywa się, sekciarzy Rusinów, których los wyrzucił poza ramy prawidłowego życia. Takim też bezdomnym, a raczej awanturniczym włóczęgą był Iwan Skoropadzki, który umknąwszy z uniwersytetu, po różnych przygodach życia osiadł na Dobrudży, otwartej dla wszystkich żyjących w niezgodzie z prawem i tu, jakkolwiek potomek hetmański, osiadł jako prosty kozak-nemolaka. Miał on córkę Praksedę — cud piękności cielesnej, jak wszystkie kobiety Czaykowskiego, pociechę lat starych. Otóż do tej rodziny, żyjącej spokojnie, przyplątał się jakiś kozak Zwizda, ukrainiec, „kostka w kostkę, mastka w mastkę“ jak wszyscy kozacy — „gdzie nie powróć to kozak“. Nie mając pola do walki — został don-Żuanem, ale jakim — każda kobieta rozdziera przed nim serce! Padła ofiarą i biedna Prakseda, najsympatyczniejsza istota z tej całej niby-po-

wieści. Ledwie za pomocą rozmaitych westchnień i spojrzeń Zwizda i Prakseda wyjawili sobie gorącą miłość, aliści jak Deus ex machina zjawiają się Cyganie, a między nimi królowa czy królewna, bo już tego dowiedzieć się napewno nie można, Zaira, śliczna naturalnie jak marzenie. Ledwie spojrzeli na siebie, a już pokochali się. Tymczasem Prakseda rozpacza na temat: kocha czy nie kocha? Znajomi pocieszają ją jak mogą, nie domyślając się nawet, że i Zwiździe nie najlepiej się dzieje. Cyganie powędrowali dalej, Zaira z nimi. Don-żuan kozacki zachorował, dostał jakiejś gorączki, o ile domyślać się można — z miłości. Ale wyzdrowiał szczęśliwie, gorączka minęła i zamiast Zairy — widzi znowu Praksedę. Kocha on i tę i tamtę, jaka się nawinie. Zaczyna się znowu romans z Praksedą, zapomina trochę o Zairze, w tem, paf! znowu się zjawia Zaira. Widzi, że źle, dalejże zatem straszyć biedną dziewczynę domysłami, że nie będzie ani tobie ani mnie. Wszystko to jednak takie blade, naciągane, klejone według zwykłej maniery Czaykowskiego, że nie robi żadnego dramatycznego wrażenia i ledwie z labiryntu słów można trochę treści wyłuszczyć. Ostatecznie Zwizda, mając dwie kobiety, które kocha i które jego kochają, decyduje się wybrać Praksedę. Odbywają się zaręczyny jakieś dziwne, Zaira rozpacza, straszy podarowaniem sztyletu Praksedzie, a tymczasem Zwizda, a raczej autor, przygotował nowego figla. Przysposabiała się wówczas wyprawa Jeża, a Zwizda niedługo namyślając się, wyruszył z nią. Starli się z Rumunami pod Kastangalią i Zwizda został ranny w „mięso“. Było mu jak w raju, a raczej w Capui w owej Kastangali, rany goiły się, a zamiast Praksedy i Zairy miał trzy siostry Margulesco, które w nim kochały się kolejką. Ale i tutaj bez czegoś nadzwyczajnego nie obeszło się. Pewnego pięknego poranku włożono go do skrzyni, zabito gwoździami i wywieziono — Bóg wie gdzie. Zdawało mu się, że żywcem pogrzebać go chciano, rozpacza, rozmyśla, a tymczasem pokazuje się, że nie było czego, bo to Zaira kazała go tak schować, żeby przy sobie posiadać. Po co ta cała dziwaczna scenerya? Trudno zrozumieć. Mogła śmiało palcem kiwnąć na Zwizdę — i byłaby go miała. Ostatecznie Don-Żuanowi dano w taborze cygańskim „wronego“ i wyruszono w świat. Tabor posuwał się

posuwał, Zaira kochała, Zwizda harcował, łowił zające chartami — i dobrze im było, tak dobrze, że kędyś nad Tymokiem powiedzieli sobie: „chcę być twoją, chcę być twoim“ — i należeli do siebie. Trochę się to stało po kozacku, może po tatarsku, dość, że im nie tyle chodziło o małżeństwo ile o „należenie do siebie“. Tak znaleźli się w Białogrodzie — zdaje się, że razem, bo z takimi drobiazgami autor nie liczył się nigdy — stamtąd do Rumunii, a Zwizda hulał, ale hulał nie po kozacku. Włosy pofarbował, wąsy także, wdział strój europejski, lakierki — i hulał, prowadząc życie Don-Żuana. Skąd do tej hulatyki przyszło — także niewiadomo, ale dość, że znalazły się tu także owe trzy panny Margulesco. Nie wiem jak długo byłoby tej hulatyki, gdyby go autor nie kazał wsadzić do powozu i wywieźć z Rumunii do Turcyi jako groźnego pretendenta do tronu hospodarskiego. Nagle opuściła go ochota do hulanek, opuściła Zaira, opuściły trzy siostry Margulesco — została tylko jedna Prakseda. Chorowała ona ciągle, pewnie z miłości, ale gdy dowiedziała się, że Zwizda wrócił — wyzdrowiała nagle. Pokazało się, że Zwizda Praksedę kochał, pobrali się też nareszcie szczęśliwie. Ale cóż? Ona była suchotnicą. Zasnęła pewnego pięknego poranku i nie obudziła się. Stary Skoropadzki wrócił na Ukrainę.

Trudno w jednej powieści nagromadzić więcej nieprawdopodobieństw i nielogiczności jak tutaj autor nagromadził. Odbiegła go dawna świeżość, pozostała tylko maniera; zalety młodego pióra znikły, została gorycz namiętnego i ambitnego starca.

Poza tą treścią i jej bohaterami rozwija się epizodycznie, można powiedzieć, druga powieść, w której bohaterem jest sam Czaykowski. Pragnie on malować i maluje innych, ale z poza nich wygląda sam, jego myśli, uczucia, plany. Tę część poświęcił autor ostrej krytyce całego r. 1863, a przeważnie akcyi prowadzonej na Wschodzie. Głównem usiłowaniem autora było ośmieszyć ludzi i myśli, które niemi kierowały w zamiarach i dążeniach, bądź całokształt interesów polskich obejmujących, bądź też tylko akcyę na Wschodzie. Przedstawił on ludzi działających tutaj bądź jako idyotów, bądź jako łotrzyków, mających tylko własny interes na wzglę-

dzie. Chciał to zrobić — i zrobił nie dla czego innego tylko dla tego, że ludzie ci nie liczyli się już z Czaykowskim, jako z siłą żywotną, posiadającą wiarę w przyszłość. Nie mógł stać na czele — więc potępił wszystkich. Według jego sposobu patrzenia i oceniania byli to albo niedołędzy i blagierzy, jak emisaryusz Feniks, fagas jakiegoś margrabiego, który skradłszy paszport i pieniądze i uciekł do Turcyi. Autor ubrał go we wszystkie przymioty samochwalcy i głupca, a że charakteru tego jak i innych ujemnych, a raczej niemiłych sobie nie rozwinął, dał przeto nie typy i nie charaktery lecz karykatury. Taką samą karykaturą jest dyplomata „Sroka czy Sroksza“, którym był jak wiadomo Orzechowski, przybrawszy sobie nazwisko „barona Okszy“, łączącego w sobie „powonienie Tayleranda, smakowanie Palmerstona i dotykanie Meternicha“ (Pisma, t. XI, str. 43). Gdyby te pseudonimy, nadane bohaterom, nie były zbýt przeźroczyste, a niekiedy nawet prawdziwe, możnaby dyalogi i słowa Czaykowskiego brać za wytwór fantazyi, przy takiej jednak przeźroczystości, jaką ich odział autor, miały charakter zemsty osobistej i graniczyły bardzo blizko z potwarzą i oszczerstwem (ibid. 103, 104, 177—184). Jenerał Żółw, baron Sroksza, Jeż „brodaty“ i inni — byli to albo pijacy, albo oszuści, albo marnotrawcy cudzego mienia, a nawet fałszerze pieniędzy. Ażeby scharakteryzować ten rząd „Niewidomy“, który z nim w żadne nie chciał wchodzić układy, Czaykowski przedstawicieli jego złożył ze zwierząt różnego rodzaju. Był tam tedy jenerał Żółw, komisarz dyplomatyczny Sroksza, pułkownik Jeż, major Kret, major Sojka, major Indyk, kapitanowie: Wilk, Kuna, Pliszka, Skowronek, Szczupak, Pstrąg, Żubr, Jaskółka, Sikora, Dzik: porucznikowie: Suseł, Lis, Niedźwiedź, Zając, Tchórz, Kaczka, Wąż, Gęś, Kuropatwa i t. d. Gdyby był wszakże wyliczył najdowcipniejsze rodzaje zwierząt, nie stworzyłby przez to rzeczy satyrycznej i dowcipnej, bo treść nie nadawała się ani do satyry ani do komedyi.

Idea ośmieszenia ruchu z r. 1863 była pierwszą próbą zerwania węzłów z własnym narodem. Gdyby był się zabrał do poważnej krytyki tych wszystkich usiłowań, dróg i dążeń, ludzi i kierunków, byłby zapewne znalazł niejedno do zganienia i nikt byłby mu tego za złe nie miał. Krytyka — to

jest punkt patrzenia i nic więcej. Ganią obywatele, śmieją się odstępcy. Już z tej powieści widać było wyraźnie, że Czaykowski stracił wszelką równowagę myśli i uczuć i zabrał się do leczenia ran w sposób konowalski: zamiast leczyć — jątrzył je tylko i wszystkich ku sobie rozdrażniał. Były to chwile walki jego ze sobą samym. Czuł się osamotnionym, oderwanym od świata polskiego, poniekąd odepchniętym nawet, a tymczasem na dnie jego duszy grały jeszcze dawne, dziecinne a raczej młodzieńcze marzenia, które go ciągnęły do kraju nieprzepartą siłą. Wyraziło się to już w *Nemolace*. Zaliczając się sam do potomków Brzuchowieckiego, przelał on uczucia swoje w potomka hetmańskiego Skoropadzkiego, który długie życie przeżywszy na tułaczce i na Dobrudży, straciwszy tu wszystkie swoje nadzieje młodości i córkę najmilszą, już niczem do tego kraju przywiązanym nie był, a tęsknił do swoich dziecinną tęsknotą samotnego serca. „Wszystkiemu musi być koniec“ — mówił sam do siebie. Co miał ludziom rozdał, a ze starą żoną i trumną córki do kraju wrócić zamierzał. Na Dunaju łódź już czekała. Wsiedli do łodzi, popłynęli. Stary Skoropadzki wiózł kości swoich i swoje stare kości do kości praojców, do mogilnika kozaczej Ukrainy“ (ibid. str. 274).

Były to ostatnie słowa jego bohatera. Wkrótce i on poszedł śladem starego Skoropadzkiego. „Wszystkiemu musi być koniec“ — temi słowy zakończył swoje życie w Turcyi, ale przed sobą miał inne jeszcze życie, którego nie przeczuwał nawet.

Do tego przejściowego okresu zaliczyć jeszcze należy gawędę kozacko-szlachecką p. t. *Z czasów hetmana Lacha*. Jeżeli wierzyć dacie, stanowi ona ostatni etap w życiu Sadyka-Paszy w Turcyi — napisana 29 września 1872 r. w Carogrodzie. W tym roku był już Czaykowski w Kijowie. Gawęda powyższa weszła do cyklu *Legend* (Pisma t. XII. Lipsk 1885). Ona jedna nas interesuje z tego względu, że i ją, tak samo jak *Nemolakę*, należy uważać za stopień w okresie zmieniających się poglądów politycznych i społecznych Sadyka-Paszy. O innych „legendach“ mówić nie będę, gdyż wszystkie je można zaliczyć do reminiscencyi młodości, a więc posiadających charakter pamiętnikowy. Są to gawędy o *ułanach*.

o *kawaleryi*, o *jeździcach i koniach*, o *trzech Janach* — nie zawierające materyału ani literackiego ani biograficznego; streszczając je rozwałkowałbym niepożytecznie cały zarys biograficzny. Wolę przeto odesłać do nich bezpośrednio czytelnika miłującego konia i gawędy.

Z czasów hetmana Lacha należy także do cyklu wspomnień a raczej reminiscencyi z powieściowym rozwojem akcyi. Wprawdzie akcya ta, jak prawie zawsze u Czaykowskiego, pogmatwana i przecięta epizodami, niemniej przeto ma charakter powieściowy. Do jakiego ona okresu należy—jest to tajemnica autora, to tylko pewne, że rozpoczyna się w Owruczyźnie, a kończy na Dobrudży. Opowiem treść krótko: szlachcic — z chodaczkowej ale buńdziucznej szlachty, Bech, jeden z licznych Bechów, pędził z drugim takim oczajduszą jak sam gęsi na sprzedaż, gęsi — cudze, krewnych, powinowatych, znajomych. Trochę po drodze zjadał, resztę sprzedał i uciekł na Dobrudżę. Tu żył długo—jak żył to żył, tego opowiadać nie będę, dość że na starość postanowił wrócić na Ukrainę i wrócił. Daleko więcej niż przygody, interesują nas te myśli i poglądy, które mu wkłada w usta sam autor, gdyż one to właśnie charakteryzują nastrój autora w ostatniej dobie pobytu jego w Carogrodzie. Dawne stanowisko tureckie, państwowe już w *Nemolace* opuściło Czaykowskiego, już był wyrozumiałym dla poddanych tureckich opuszczających Turcyę i dążących pod opiekę „białego Cara“. W podróż tę wyprawił Skoropadzkiego. Kiedy koszowy Hładkij z całym swoim koszem oddał się w poddaństwo białemu carowi, powiedział: „nic dziwnego i nic złego; chrześcijański to i słowiański pan, na prawdę rzekłszy, nasz prawy i jedyny monarcha. Ale on od Boga mu daną władzę sumiennie wykonywa; jest u niego w państwie ład i porządek, jest i prawo Boże i prawo carskie; on rządzi i lud u niego rządzonym (Pisma, t. XII, str. 281). Tęsknił Bech, gdyż rzucił Carogród „bo tam Cara nie było i Bóg wie kiedy będzie“ (ibid. str. 280). Wybrał się tedy z Turcyi do domu nie po kozacku lecz po szlachecku: „cztery tarantasy a w każdym trójka jednomastek, rysak i dwa prystiażne w dartego orła grały, a na duhach poprzewiązywane kałakoły w takt ruchom końskim przegrywały. Były i dwa bachmaty czarnomorskie, oba

wrone jak kruki i cztery charty kudłate, dwa sokoły siwe i dwa wyżły bez ogonów i bez uszów, żeby po szuwarach nie nakaleczały, zworszczyki, kozaczki, praczka, kucharka — zebrał się zwód dobry" (ibid. str. 293). Z takim orszakiem przez stepy ruszył.

Opowieść ta podobna zupełnie do jego własnej podróży. Kijów w jego młodości, w jego wyobraźni, w jego marzeniach kozackich odegrywał rolę punktu dośrodkowego. „Czy jest na świecie — woła ze swoim bohaterem z nizin poleskich — człowiek słowiańskiego rodu, chrześcijanin czy muzułmanin, prawosławny czy katolik, poganin nawet, byle Słowianin, w którymby dusza nie zatrzepotała się jak do wylotu, oczy nie topiły się w widoku starego Kijowa, tego grodu srebrnego archanioła, wodza i opiekuna Bożego słowiańskich dusz, tej domowiny białego cara, tego namiestnika Bożego nad słowiańskimi ludźmi, nad słowiańską ziemią?" (Pisma XII, 293).

Rozczarowanie spotkało jednak Becha, gdy zamieszkał między bracią szlachtą, gdy przysłuchał się do ich rozmów, poznał ich myśli, spostrzegł przepaść między marzeniem własnem a rzeczywistością, poznał dwa światy: ten, który w sobie nosił i który się wyrobił w czasie jego długiej nieobecności. „Jeden mówi, że pałac ojców przerobił na cukrownię, drugi, że z matczynej oranżeryi sporządził browar; ten, że rajtszulę, w której praojcowie gonili na palcaty, gdzie wyjeżdżali dżamety i bachmaty, oczyścił i przyrządził na składy buraków; ten, że praojcowskie pałasze, miecze i dżyryty, jako z dobrej stali, przerobił na szarpacze i łopaty do rafineryi. A każdy prawił o wieku realnym, o realizmie, o specyalizmie, i o Bóg wie jakich nowych pomysłach, że trzeba się rozstać z dawnemi mrzonkami i z dawnemi pamiątkami; trzeba być technikiem żeby wiedzieć co robić. Po co gadać o rycerstwie, o sławie, o poświęceniu się, to czcze dymy, a dym ulatuje i nic po sobie nie zostawia, nawet dobrego imienia, bo pocóż imię, kiedy pustki w kieszeni. Szkoda, przemarnował życie, żeby się był rządził realnie, byłby miał kawałek chleba na starość..." (ibid. str. 300). Było to najlepszym dowodem, że stary Bech i Sadyk-Pasza nie mogli się już z nowem społeczeństwem porozumieć. Jednemu zdawało

się, że „realizm“ powinien był zabić narodowość, a drugiemu — że narodowość w przeszłości.

Przez własne pisma ostatniego dziesięciolecia kierował myśl swoją do Rosyi i Kijowa, widząc w Kijowie serce Słowiańszczyzny, w Rosyi — jej głowę. I poszedł w tej nadziei, że zanim pójdą inni: kozasy dobruccy zostali jednak, a z Polakami ani pogodzić się ani porozumieć się nie mógł. Do pozostałych zawołał: „pokój wam, a mnie nowe życie w starym Kijowie“.

Ciężkie to było nowe życie!

Wrócił do Kijowa. Życie jego rozpołowiło się tutaj na dwie części bardzo wybitne: osobistą i publiczną. Najprzód o publicznej słówko powiem. Przyjechał z wielkimi planami; z zamiarami i myślami jasno sformułowanemi i, niepodtrzymany przez nikogo, musiał z placu boju ustąpić. Marzyła mu się rola Markiza Wielopolskiego — śmielsza i dalsza, brakło tylko dla tej roli podstawy realnej. Słowem i pismem począł on propagować potrzebę zgody z Rosyą. „Cóż pozostaje Polakom? — pisał. — Albo być frymarką i poniewierką gabinetu wiedeńskiego i Madjarów — jednym, a wszystkim niemczyć się pod rządami niemieckimi; albo też, skoro w swoim czasie — chociaż zbieg ówczesnych stosunków politycznych długo ich pchał do tego, — skoro, mówię, w swoim niegdyś tam czasie nie umieli stanąć na czele słowiaństwa, skoro później ich przeniewierzenie się dziejowej misyi tego słowiaństwa, przyczyniło się do własnego upadku, a przez to spotężniał śmiertelny, nieprzebłagany wróg i dziś grozi jej ostateczną zagładą — nic im, powtarzam — nie pozostaje jak wrócić do tego słowiaństwa, a gdy samochcąc wypchnąć się dali z południowego, pogodzić się z północnem, połączyć się, zbratać państwowo z bratnimi Rosyanami, uznać z dobrej woli władzę cesarza Rosyi, potężność słowiańskiego monarchy. To jest jedno jedyne zbawcze i rozumne co Polacy bez długich ociągań się zrobić powinni, jeśli chcą zostać Polakami i w Słowiańszczyźnie, a nie pójść na pognój niemiecki, jak na niego przed wiekami poszło tylu już ich pobratymców. „Wyliczywszy plemiona słowiańskie, które pochłonięte zostały przez falę niemiecką, wspomina o tych, których fala germańska już jakoby zalewa“, Szląsk górny i dolny,

Prusy zachodnie i wschodnie i ks. Poznańskie". Wszystko to albo już albo niezawodnie zejdzie pod pług niemieckiej kultury, jeżeli Bóg nie zlituje się nad Polakami, jeśli nie zdejmie bielma z oczu żeby nareszcie przejrzeli i dostrzegli skąd im grozi niebezpieczeństwo ostatniej zagłady, a skąd może przyjść jedyna pomoc i ratunek. „Ratunek i pomoc mogą przyjść tylko ze strony Rosyi". Trudno temu zaprzeczyć, ważąc to niebezpieczeństwo z ogólno-słowiańskiego stanowiska. W perspektywie ukazywał on, jako cel najwyższy, zemstę nad Niemcami, zapominając o tem, że zemsta nie może być celem pracy narodowej, ani dążeniem cywilizacyjnie rozwijających się społeczeństw. „Polacy z Rosyanami razem pogodzeni i pojednani — pisał w cytowanym już wyżej manifeście do narodu — mogą żyć i ostać się Polakami historycznie i politycznie, a stawszy się czerstwym, zdrowym i organicznie z całością złączonym członkiem olbrzymiego ciała, które dotąd na kształt chorobliwej narości paraliżowali, ale sami zjednoczeniem takiem potężni, będą mogli wziąć *odwet* na tym jedynie prawdziwym i odwiecznym swym wrogu, o którym równie wiekowe przysłowie powiada, że: „jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem".

Prawie natychmiast po przybyciu do Kijowa, wynikły nieporozumienia między nim a jego interlokutorami, chociaż w łonie samego społeczeństwa nie brakło żywiołów chętnych do zgody i ustępstw. Czaykowski stawił kwestyę na ostrzu noża, i dlatego zamiast jednać, dzielił i drażnił ludzi, sam sie rozgoryczając bez pożytku. Tak więc zamiast pracować w kierunku zgody, drażnił i dzielił.

Przyczyniały się do tego niemało stosunki i życie osobiste do tego stopnia, że czuć się począł coraz bardziej samotnym, widząc nieziszczonemi nawet swoje własne marzenia i życzenia. Zamożny niegdyś szlachcic, do majątku nie wrócił i zmuszony był żyć z pensyi jenerała tureckiego, jaką z Konstantynopola pobierał. O tych osobistych stosunkach słówko powiedzieć należy. Po śmierci Śniadeckiej, która nastąpiła w r. 1866 wkrótce poznał się Sadyk-Pasza w obozie, za pośrednictwem adjutanta swego, żyda Horensteina, z Greczynką Ireną Teoscolo. Co to była za kobieta? Niewiadomo.

Tajemniczość dotychczas pokrywa jej pochodzenie, rodzinę, stosunki, życie poprzednie. Wiadomo tylko, że to była osoba bardzo młoda, bardzo piękna i lubiąca towarzystwo męskie. Zdołała ona opanować Sadyka-Paszę zupełnie, tak dalece, że reminiscencyom tego stosunku poświęcił jeszcze niejedną kartę w ostatnim swoim utworze literackim (Pisma, XII t., str. 269 i n.), pisanym na wyjezdnem do Kijowa. Zapewne, trudno z tych kartek wydzielić prawdę od złudzeń, to tylko pewno, że o niej nie o kim innym była tam mowa, chociażby dlatego, że mówi o wyspie Tinos i o czarnych oczach Ireny. Tak czy inaczej, dość, że kiedy powziął zamiar powrotu do Kijowa i na Ukrainę, związek z nią był już tak ścisły, że się rozstać nie mógł. Przyjechała z nim jako żona — zapisana w paszporcie.

Do r. 1877 wszystko szło dobrze o tyle, że pensya jenerała tureckiego nie dawała odczuć ciężaru marzeń. W tym roku wszakże, a nawet zdaje się trochę wcześniej, kiedy wybuchła wojna między Turcyą a Rosyą, Sadyk-Pasza, jako jenerał, został powołany do Konstantynopola. Czaykowski odmówił powrotu. Fakt ten stał się powodem odebrania mu pensyi tureckiej. Wobec tego znalazł się on bez środków do dalszego życia. Z Greczynką Ireną miał już córkę. Pragnąc zapewne zabezpieczyć przyszłość tego dziecka, zgodził się na chrzest jej według obrządku greckiego wschodniego. Ojcem chrzestnym przez zastępstwo był cesarz Aleksander II., który też przyszedł z pomocą Czaykowskiemu z kilkoma tysiącami rubli jednorazowo, a równocześnie wyznaczył mu na kształcenie córki dożywotnią pensyę w kwocie 1200 rs. rocznie. Było to bardzo mało jak dla człowieka przyzwyczajonego do wystawnego i wygodnego życia, trzeba było jednak na przyszłość zastosować do tej kwoty wydatki swoje.

Czaykowski tracić począł mir coraz bardziej. Czuł się odosobnionym, zubożonym, upokorzonym i w takiej zapewne chwili walki wewnętrznej postanowił Kijów opuścić. Obecny przy nim nieodstępnie dawny adjutant Morozowicz radził mu powrót do Turcyi — i to niejednokrotnie, Czaykowski odrzucił.

Mając niewielki fundusz do dyspozycyi, dar cesarza Aleksandra II, zdecydował się kupić jakąś małą posiadłość

ziemską, ażeby tam spokojnie mieszkać. Przy 1200 rs. stałej pensyi, przy dogodnościach jakie dawać może siedziba na wsi, mógł żyć względnie wygodnie. Był tylko on i żona. Córkę na koszt rządowy umieszczono w Smolnym instytucie w Petersburgu. W prawobrzeżnej Ukrainie nie mógł tego uczynić, albowiem istniał zakaz, zabraniający Polakom kupna ziemi. Mająteczek taki, futor, mający kilkadziesiąt desiatyn gruntu, jakoteż dom mieszkalny obszerny i wygodny, znalazł się w gub. Czernichowskiej, niedaleko miasteczka Kozielca. Była to miejscowość moczarowata, nizinna, o lichej piaszczystej glebie, na uboczu leżąca od wielkiej drogi, wiodącej z Kijowa do Czernichowa. Już sam fakt kupna tak małej posiadłości, zważywszy taniość ziemi, nieprzekraczającej kilkudziesięciu rubli na desiatynę, tembardziej, że była to gleba licha, dowodzi, że nie była zbyt wielką. Folwarczek ten leżał we wsi Borkach. Do niego tedy sprowadził się Sadyk-Pasza z żoną i nieodstępnym przyjacielem swojej starości Morozowiczem. Kilkoletni ich pobyt tutaj i śmierć obu jest prawdziwie tragicznym końcem długiego życia.

Gospodarstwem żaden z nich trudnić się nie mógł z powodu starości; trzeba więc było wziąć kogoś w rodzaju ekonoma, któryby i robót rolnych dopilnował i ład utrzymał folwarczny. Człowiek taki znalazł się w osobie jakiegoś Jankowskiego. Była to osobistość bez wykształcenia, z niższego świata urzędniczego, ale posiadał jeden przymiot, którego brakło Czaykowskiemu — młodość. Wkrótce zawiązał się życzliwy stosunek między nim a Ireną, na który Sadyk-Pasza patrzył podejrzliwie. Z tego powodu wywiązywały się nieporozumienia domowe bardzo częste, długie i przykre. To spowodowało Sadyka-Paszę, za poradą, jak się zdaje Morozowicza, pozostawić Irenę własnej jej woli. W tym celu nabył on w pobliżu Borków drugą posiadłość, równą prawie co do wielkości pierwszej, o tyle wszakże gorszą, że nie posiadała domu mieszkalnego i żadnych wygód. Folwarczek ten nazywał się Parchimowa. Do Parchimowej tedy przenieśli się obaj starcy i w prostej chłopskiej chacie zamieszkali obydwa— bez opieki, bez dozoru, bez wygód żadnych. Stara kobieta, włościanka miejscowa, gotowała im jeść i niezbędnę usługi spełniała. Irena pozostała na gospodarstwie.

Ponieważ w Parchimowej literalnie nie było gdzie mieszkać, zabrali się tedy obydwa, szczególnie Morozowicz, do wybudowania sobie jakiejś wygodniejszej chałupy. Sprowadzeniem drzewa i robotami zajmował się Morozowicz; Sadyk-Pasza, pognębiony na duchu, utonął cały w przeszłości i pisał *Pamiętniki*.

Otóż, jednej późnej jesieni, w czas śnieżny i ciężki wrócił Morozowicz z lasu z furami drzewa. Czy wstrząśnienie fizyczne, czy inna jaka przyczyna, dość że Morozowicz ledwie wszedł do izby, padł na łóżko i skonał. W ten sposób los pozbawił Czaykowskiego ostatniego i wiernego przyjaciela, który z nim razem odbywał pokutę do końca życia. Sadyk-Pasza pochował go przed oknami swojej izby. Śmierć ta dotknęła go bardzo boleśnie. Przebyte walki osobiste, niepowodzenia polityczne, rozczarowania codzienne pognębiły go i złamały. Już od chwili przeniesienia się do Borków można to było dostrzedz, gdyż znajomości z ludźmi nie szukał, o polityce i sprawach narodowych nietylko nie mówił, ale unikał rozmów, o przeszłości swojej również milczał.

Irena, dowiedziawszy się o śmierci Morozowicza, przyjechała do Parchimowej i poczęła namawiać Sadyka do powrotu do Borków. Sadyk żądał usunięcia się Jankowskiego, na co, jak się zdaje, żona zgodziła się na razie. Czaykowski powrócił do Borków, ale chwile spokoju krótko trwały. Kłótnie i nieporozumienia wzmogły się, a przyczyną ich był zawsze Jankowski.

Tak trwały rzeczy do przyjazdu córki z Petersburga na zimowe wakacye Bożego Narodzenia. Przyjazd jej bynajmniej nie zmienił w niczem ani wzajemnego stosunku Ireny do Sadyka-Paszy ani do Jankowskiego, który znowu stał się powodem wzajemnych nieporozumień. Zbliżał się dzień wyjazdu córki do instytutu. Irena chciała ją odwieźć do dworca kolei sama. Czaykowski życzył sobie, ażeby wzięła ze sobą służącą. Zdaje się, że była to zwykła scena zazdrości, połączonej z uporem starczym. Czaykowski nastawał na tem żądaniu i groził, że sobie życie odbierze, ale groźba ta przechodziła bez wrażenia. Nadeszła noc. Matka z córką spały w osobnym pokoju, Czaykowski w innej izbie siedział i fajkę palił. W owe czasy był to już starzec prawie niedołężny,

schorowany, ledwie ruszający nogami, do tego stopnia, że przez próg przestąpić nie mógł, nie oparłszy się o kij lub o odrzwia. Około północy wszedł do pokoju, w którym spała Irena i począł ją budzić. „Wstań! Coś ci powiem“. Irena odpowiedziała obojętnie: „jutro powiesz“ i zasnęła znowu. Czaykowski wrócił do swego pokoju i coś pisać począł. Pisał mniej więcej do godziny 5-ej rano. W tym czasie wszedł znowu do pokoju Ireny, usiadł na brzegu jej łóżka, przyłożył sobie do serca pięcio-strzałowy wojskowy rewolwer — i wystrzelił. Kula nie trafiła w serce, przeszła bokiem, przeszyła jamę brzuszną i nadwerężyła kość pacierzową. Zraniony upadł na ziemię przy łóżku. W tym samym domu, o ścianę tylko od mieszkania Czaykowskiego, mieszkał oficer, dowódzca roty Archangiełogrodzkiego pułku. Na odgłos wystrzału cały dom stanął na nogi. Podniesiono krwią zbroczonego starca, posłano po doktora — ale przekonano się wkrótce, że ratunku już niema. Zjechała komisya dla zbadania przyczyny samobójstwa; na zapytanie jej Sadyk-Pasza znalazł tylko jedno słowo odpowiedzi: „Życie obrzydło!“ Jakkolwiek o ratunek prosił, umarł wkrótce, jak się zdaje z upływu krwi do jamy brzusznej.

Żołnierze zajęli się pogrzebem jego: na razie zrobili tylko trumnę i złożyli do niej ciało; pogrzeb wstrzymano do nadejścia pozwolenia od rządu. Zachodziło pytanie: gdzie go chować i jak, gdyż był i samobójcą i Muzułmaninem. Przed śmiercią nie spowiadał się i życzenia żadnego co do pogrzebu nie objawił. Los nietylko nie oszczędził mu tragicznego końca, ale i po śmierci piętno tragizmu na nim położył. Ciało jego przeniesiono z pokoju do szpichlerza (ambar), a gdy się trumna we drzwiach nie mieściła, trzeba je było wyjąć, trumnę wcisnąć i ciało po raz drugi w niej złożyć. Posługi tej dokonali żołnierze. Ale tragizm jego losu bynajmniej na tem się nie zakończył. Umierając, życzył sobie, ażeby ciało jego złożono obok Morozowicza. Trzeba było zatem przewieźć je do Parchimowej. Otóż na to pozwolenie oczekiwano. Nadeszło wreszcie wraz poleceniem pochowania go według obrządku chrześcijańskiego.

Ponieważ była to zima, włożono trumnę jego na proste

sanie chłopskie, grendżoły, w parę koni zaprzężone i odwieziono do Parchimowej. I tu tylko żołnierze Archangiełogrodzcy oddawali mu posługę pośmiertną. Przed Parchimową orszak żałobny spotkał miejscowy duchowny z chorągwiami i nie na cmentarzu, lecz w ogrodzie, obok mogiły Morozowicza, pokropiwszy go święconą wodą, pogrzebał.

Życie sobie odebrał d. 4 stycznia st. st. 1886 r.

Żona po jego śmierci otrzymuje nadal pensyę, wyznaczoną mu przez cesarza Aleksandra II.

Tak smutnie zakończył długie swoje i niespokojne życie Michał Czaykowski, pisarz i żołnierz. Niepohamowana ambicya, przewyższająca zdolności, jakkolwiek nieposlednie, nie pozwoliła mu pozyskać dla swoich planów dawnych i nowych, sympatyi społeczeństwa polskiego. Prawda, nieraz śmiała i niezaprzeczona, tkwiła na dnie tych planów, ale sam niezdolny był do ich wykonania. Człowiek, kierujący się fantazyą, nie potrafił tak obmyśleć szczegółów wykonania, ażeby one budzić mogły zaufanie i wiarę. Pomysły miewał często dobre, niekiedy zuchwałe, które mogłyby przynieść nieraz nieobliczone następstwa, ale nigdy żadnego nie wykonał w całości. W pismach i drogach swoich bezwzględny, zniechęcał i drażnił wszystkich, a pełen niespokojnej fantazyi, nie budził dla siebie zaufania. Ludzie wielcy, jak Mickiewicz, umieli ocenić jego pomysły z doby wojny wschodniej, ale praktyczni politycy rzadko się z nimi pogodzić mogli. Gładkiem wychowaniem, zręcznością towarzyską, umiejętnością nawiązywania stosunków, śmiałością myśli, rzutkością umysłową umiał sobie wyrobić poważne stanowisko na Wschodzie, ale nic na tem stanowisku dla interesów kraju nie zrobił, a zeszedłszy z niego dobrowolnie, życie tragicznie zakończył. Pycha zgotowała mu koniec smutny.

Czaykowski posiadał w swoim charakterze jedną cechę, która jak nić czerwona przewijała się przez całe jego życie od młodości do grobu: była to awanturniczość. Jako cecha charakteru objawiała się ona nietylko w jego działalności, ale także w zboczeniach, pełnych wybryków, jego ducha i wyobraźni. W życiu rzucała go ona różnie, od brzegu do brzegu,

od jednej ostateczności do drugiej, otaczając zarówno promieniem chwały jak i urokiem hańby, a w literaturze miotała nim od wielkiego rozgłosu do smutnego zapomnienia. Był on igraszką fortuny, która go głaskała, upokarzała, męczyła, wynosiła wysoko, pokazując dalekie i rozległe horyzonty dla pracy, a potem spychała w tartar upokorzenia i zgryzot. Można śmiało powiedzieć, że szczęście jego szło równym krokiem z jego charakterem, było tak niestałe i awanturnicze, jak dusza tego niezwykłego człowieka. Z tą cechą awanturniczości wyrósł, z nią żył w hulaszczem otoczeniu szlachty, a wrażliwa jego natura nasiąkała jak gąbka powoli wszystkiemi wadami i zaletami charakteru narodowego tej cząstki szlacheckiego społeczeństwa, śród której los żyć mu pozwolił. Dziecko rodziny, w której krew kozacka, nie „motłochu", jak powiadał, lecz arystokracyi kozackiej, pomięszaną była z krwią szlachecką, przez całe swoje życie, w każdej pracy był typem tej mieszaniny. Szlacheckie zawadyactwo o miedzę graniczyło z szorstkością kozacką; dziś przy kielichu gotów był mówić, że kocha Lachów, że za króla i Rzptą głowę położy, a jutro — rozdąsany i kapryśny gotów był tą samą szablą rąbać króla i Rzptą. Jedną stroną zbliżał się do ludu, kochał go szczerze, zwyczaje jego, obyczaje, pieśni znał i lubił, z drugiej — nosił butnie i wysoko szlachecką głowę. Był to demokrata szlachecki w całem tego słowa znaczeniu. Równość u niego wypływała nie z praw, lecz z łaski pańskiej; innej demokracyi nie znał, nie uznawał i nienawidził. Nie zniżać się do ludu, ale lud podnosić — oto było jego godło; a ponieważ szlachectwo uważał za najwyższy klejnot na świecie, drogą łaski zatem pragnął tych, kogo uzna za godnych, do wysokości tego klejnotu wynosić. W wymarzonej przez niego Polsce wszyscy powinni być szlachcicami, a karmazynami tylko najlepsi. Ruch ukraiński w r. 1863, do którego wywołania niewątpliwie poprzednią swoją akcyą przyczynił się najbardziej, potępiał także dlatego, że chłopomani zniżali się do chłopa, strojąc się w świtki, długie buty, czerwone mereżki i pasy.

W krwi tej swojej kozacko-polskiej nosił on w sobie ten dziwny rozdźwięk: mieszaninę uległości i buntu, czołobitnej pokory przed władzą królewską i lekceważenia jej. Może w tej dwoistości natury jego, w tej mianowicie krwi trzeba szukać sympatyi jego dla wschodniego świata muzułmańskiego,

które go ku sobie nęciły i pochłonęły nareszcie. W sprzecznej i kapryśnej duchowo jego naturze na jednym biegunie była Słowiańszczyzna, na drugim Turcya. Zaczął swój zawód literacki od wykrzykniku: „Stary Dunaju! *Słowiańska rzeko!* Powiedz, czyś na twym grzbiecie zaniósł i zatopił w bezdnie Czarnego morza sławę i imię plemienia słowiańskiego i dackich rodów?“ (Wernyhora). A później odzywał się apostrofą, charakteryzującą sztandar, pod którym przez większą połowę życia pracował: „Stary Dunaju! *Ottomańska* rzeko! Nad brzegami twymi błyszczą minarety meczetów, błyszczą kopuły cerkiew, *bratają się* muzułmani z chrześcijanami, zlewają się różne narodowości w jedno wielkie otomańskie państwo i zewsząd wołają: żyj nam potomku Otmana, krwi naszych cesarzów, Sułtanie Abdul-Azis-Hanie, *nasz* panie, Cesarzu otomańskiego państwa“. (Wstęp do *Wernyhory*, 26 marca 1862, Wyd. lipskie). Wierzył, że w ten sposób przez „wojsko otomańskie będzie rozcięta kwestya Wschodu na wieki wieków“. Ale i temu sztandarowi sprzeniewierzył się. Robił tak, jak robili Doroszenki, Palije, Sahajdaczni, Chmielniccy, Wyhowscy, którzy dziś przysięgali Tatarom i Turkom na wierność wieczną, jutro zrywali, ażeby przysięgać Rzptej i znowu zrywać. I tak do ostatniej chwili miotali się między przysięgą a odstępstwem, nic nie zdziaławszy dobrego dla siebie, a przez wyniosłość swoją i niepohamowaną swawolę, dla swego narodu.

Jezuitów nienawidził — dlaczego? Tak sobie, bo nienawidzili inni. Zdawało mu się, że wszystko złe na świecie od „wyzuwitów“ pochodziło. Bawił się słowami, podkładając je pod swoje myśli tak jak mu było potrzeba. Słowa Wyhowskiego: przedam Bar i Rudy, a zagram Lachom w dudy — ulubione i powtarzane przez niego aż do znudzenia — przerobił do własnego użytku: „zagram wyzuwitom w dudy“. Niepoważnie bronił, a jeszcze mniej poważnie napadał. Katolicyzm także mu ciężył, szczególnie od chwili przyjęcia muzułmanizmu. Jezuitom i katolicyzmowi przypisywał wszystkie nieszczęścia Polski. „Katolicyzm oddał królów polskich pod zwierzchnictwo cesarzów niemieckich; katolicyzm zepchnął Polskę ze zwierzchnictwa nad Słowiańszczyzną, wyznającą dogmat kościoła wschodniego; katolicyzm sprowadził Krzyżaków na klęski Litwy i Polski; katolicyzm doprowadził do

wiarołomstwa Władysława Warneńczyka; katolicyzm nie dał Stefanowi Batoremu zniweczyć wzrastającej potęgi Moskwy; katolicyzm rozdwoił Polaków z Kozakami, spowodował klęski i upadek obydwóch rodów jednego narodu; katolicyzm uzbroił Jana Sobieskiego na obronę największego wroga Polski, cesarza niemieckiego, przeciwko muzułmanom najlepszym sprzymierzeńcom Polski". — No, dosyć i tego, a to nie są jeszcze wszystkie winy katolicyzmu. Gdyby po tem wszystkiem był jeszcze napisał, że świat cały rozsypie się na atomy, a ludzkość wymrze, skutkiem skarłowacenia moralnego, dzięki temu, że istnieje katolicyzm, — nie można byłoby się dziwić bynajmniej.

Ażeby to wszystko poprawić, potrzeba według Sadyka-Paszy „ażeby katolicyzm stał się słowiańskim, nie łacińskim", „nam potrzebny katolicyzm Bazylanów, a nie katolicyzm Jezuitów (Pisma, t. IV, Wstęp XVII). Pisał to w r. 1862 i ten fakt wytłumaczy po części ostrość i jednostronność jego sądu. Był to początek niewiadomego jeszcze końca.

Kapryśność i niestałość jego poglądów na sprawy i rzeczy narodowe, chęć wywyższenia się ponad wszystkich i utrzymania tego dominującego stanowiska czyniła go niepopularnym śród najbliższego otoczenia. Zjadliwy, uszczypliwy, nie oszczędzał nikogo; dzisiejszy przyjaciel jutro stawał się przedmiotem pocisków; albo łagodny i pobłażliwy, albo niewyrozumiały i szorstki. Wady te i usterki odsuwały na drugi plan niewątpliwe jego zalety: gościnność i uczynność. Zdolny do uniesień, pełen poezyi, energii i życia w sobie, dawał się unosić tym przymiotom; stąd też bardziej do gustu przypadał mu świat muzułmański, kozackie życie na Dobrudży, niż salony przecywilizowanych paryskich panów i spanoszonych „episierów". Strój turecki, formy życia, sam charakter i nowość form religijnych podobały mu się, nęciły, bawiły go może. Kolorysta w powieściach i opowiadaniach, był także kolorystą w życiu. Temu może należy przypisać, że islam brał nie ze strony duchowej lecz formalistycznej. Bawił się nim tak samo, jak się bawił mundurem swoim jenerała tureckiego, jak się kochał w mundurach kozaków i dragonów, wymyślając dla nich z upodobaniem nowe barwy i naszycia. Muzułmaninem w znaczeniu religijnem nie był nigdy, a tembardziej pod koniec życia. Jakkolwiek praktyki religijne we-

dług islamu wykonywał, szczególnie w pewnym przystępie humoru lub nastroju ducha z przesadnym, nawet na prawdziwego Turka, bigotyzmem; w chwilach zapomnienia wykrzykiwał: Jezus! Marya! lub święty Boże! (Rumunia, Dunin Wł., Lwów. 1887). Ludzie, którzy go znali osobiście, a z oficerami jego stykali się, utrzymywali, że nie lubiono go w najbliższem służbowem otoczeniu z powodu intryg, które albo prowokował, albo ze szkodą powszechną im ulegał (ibid. 95). Oficerowie obawiali się go do tego stopnia, że nietylko odradzano przybyszom z Polski odwiedzania go, ale proszono, ażeby o znajomości z nimi nie wspominał. A jednak był to człowiek uczynny, gościnny i prowadzący nad Bosforem, już po r. 1863, dom po staroszlachecku. Dostatek, a nawet zbytek panowały w jego domu, służby co niemiara; do stołu nakrywano zawsze na dwa razy tyle osób ile było domowników lub zapowiedzianych gości. Dla gości jego stoły i dom były otwarte zawsze; konie, lektyki, powozy i kaiki z flagą generalską były dla ich dyspozycyi (Dunin).

Pomimo to wszystko wszakże rzadko umiał pozyskać sobie serca współrodaków z kraju, a współtowarzyszy jeszcze rzadziej. Pośród nich panowała opinia, że wpływów swoich na pożytek interesów polskich nietylko nie użył nigdy, lecz przeciwnie, szkodził często. Nie było w tem niezawodnie tyle winy ile pozorów.

Takim był człowiek.

Jako pisarza scharakteryzował go dobrze Stan. Tarnowski. „Był to talent nie z największych zapewne pisał — ale samorodny, oryginalny; wyobraźnia jednostronna, w której powtarzały się obrazy i postacie podobne jedne do drugich, ale jakaś żywa, sympatyczna, przez to że był w niej zawsze albo dzielny kozak, wierny Polsce i bijący się za nią, albo ułan. Styl manierowany, pretensyonalny często, ale często i obrazowy, czasem aż prawie poetyczny. Czasem było w nim coś dziarskiego i tęgiego, często coś tryskało tęsknego i rozmarzonego, co z duszy pisarza przechodziło w jego słowa, a z tych w duszę czytelnika, tak, że ten, czytając, gotów był zadumać się nie wiedzieć o czem, patrzyć nie wiedzieć na co, słuchać czy gdzie w stepie nie odbije się echem proroctwo Wernyhory“. (Przegl. pol. 1886, t. IV, str. 412). Była u niego maniera, była pretensya kozacka, było w wyo-

braźni i w stylu udawanie, przebieranie się za kozaka-junaka; wszystko to czasem nużyło, czasem nudziło, czasem śmieszyło, ale było miłe i sympatyczne.

Do wielkich tematów nie porywał się, zadań społecznych i narodowych w powieściach swoich nie potrącał, bo rozkochany w swojej kozaczyźnie, w dziejach narodu ją tylko jedną widział i jej wszystko przypisywał. To zamknięcie się w jednym temacie, w jednej myśli, stało się u niego manią. Zacząwszy łączyć Polskę ze Słowiańszczyzną jeszcze w Paryżu, wkrótce po emigracyi, skończył dopiero w Kijowie.

Pisząc w Stambule w r. 1862 *Dziwne życia Polaków i Polek*, w przedmowie do Ludwiki Śniadeckiej, powiedział, że i jego życie było dziwne — i powiedział prawdę.



ŻYCIORYSY
SŁAWNYCH POLAKÓW

1. Mikołaj Kopernik	przez	Henryka Merczynga
2. Adam Mickiewicz	„	Stanisł. Tarnowskieg
3. Józef Korzeniowski	„	Piotra Chmielowskie
4. Zygmunt Kaczkowski	„	Piotra Chmielowskie
5. Jan Zamojski	„	W. Nowodworskiego
6. Jan Sniadecki	„	Dr. L. Świeżawskieg
7. Fryderyk Chopin	„	Ferdynanda Hösicka
8. Maurycy Gosławski	„	St. Zdziarskiego
9. Klementyna Hofmanowa	„	Piotra Chmielowskie
10. Tadeusz Czacki	„	Piotra Chmielowskie
11. Stanisław Konarski	„	Henryka Wernica
12. Jan Kochanowski	„	W. Nehringa
13. Jędrzej Sniadecki	„	Leona wieżawskieg
14. Michał Czajkowski	„	Fr. Gawrońskiego
15. Józef Bohdan Zaleski	„	M. Mazanowskiego
16. Stanisław Moniuszko	„	B. Wilczyńskiego

W dalszym ciągu ukażą się:

Aleksander Wielopolski	przez	Władysława Spasowi
Jan Długosz	„	St. Ptaszyckiego
Andrzej Morsztyn	„	E. Łunińskiego
Józef Kraszewski	„	St. Krzemińskiego
Lucyan Siemieński	„	A. Dobrowolskiego
Sebastyan Klonowicz	„	Henryka Wernica
Stefan Batory	„	Winc. Zakrzewskiego
Jan Matejko	„	Stanisława Tarnowski
T. T. Jeż	„	M. Zdziechowskiego
Jan Sobieski	„	Ernesta Łunińskiego
Józef Szujski	„	Stanisława Tarnowski
Adam Asnyk	„	J. Kotarbińskiego
Miecz. Romanowski	„	E. Łunińskiego
Henryk Rzewuski	„	Piotra Chmielowskieg
Karol Szajnocha	„	Aleksandra Kraushar
Zygmunt Krasiński	„	St. Tarnowskiego
Piotr Skarga	„	St. Tarnowskiego
Stanisław Staszyc	„	Tadeusza Grabowskie

i t. d., i t. d.

Cena każdego tomiku 30 kop.